Nr. 17 (1165). **Warszawa, dnia 12 (25) Kwietnia 1903 r.** **Rok XXIII.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rb. **2**, rocznie rb. **8**, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. **2** kop. **50**, rocznie rb. **10**.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.
Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

W OBOZIE CZESKIM.

Stało się, co w porządku rzeczy ludzkich przyjść musiało: zużywa się obuwie, zużywa się i człowiek, i całe nawet stronnictwa tracą powagę, urok, siłę, które im władzę dawały i pozwoliły panować przez długie nieraz lata nad ogromami narodowymi. Niekiedy przewroty takie dokonywają się nagle i nietylko z pozoru, wskutek niedostrzeżenia przyczyn zwolna, w ukryciu a stale działających. Najbardziej przekonywającym dowodem takiej gwałtownej utraty stanowiska, dającego władzę, jest upadek Staroczechów w r. 1890 po słynnych konferencyach i protokółach wiedeńskich za Taaffego. Teraz kolej klęski przychodzi na ówczesnych zwycięzców. W całym kraju podniosła się przed miesiącem burza przeciwko Młodoczechom. Już oni nie stoją tam, gdzie naród widzieć ich pragnie, już odbiegają od chorągwi, pod którą jedynie zwycięztwo wywalczyć można, już nie wyczuwają tętna narodowego — czas już tedy, aby ustąpili innym, lepszym chorążym, lepiej rozumiejącym ducha narodu, znającym jego potrzeby i wymagania. Młodoczeszczyzna się przeżyła — niech żyje „radykalizm."

Pod tem hasłem odbywa się agitacya, wywołana raczej przez apetyty ludzi nowych, którzy już w społeczeństwie dojrzeli do ambicyi politycznej, niż przez rozumne pobudki, któreby istotnie stawały na straży zaprzedawanych lub gubionych interesów narodowych. Zaczął się ruch z chwilą postanowienia powziętego przez Koło czeskie w Wiedniu, aby zaprzestać obstrukcyi nieprowadzącej do niczego, tylko rozzuchwalającej Niemców, a wziąć się do współdziałania z innemi stronnictwami, choćby nie umówionego z góry, w tych wypadkach, w których interes Czech pozwala na uwzględnienie interesów Austryi. Postanowiono wówczas w Kole uchwalić budżet, nie tamować rozpraw o zaciągu wojskowym i, co najważniejsza, nie opierać się uchwaleniu ugody z Węgrami. Kramarz oświadczył w imieniu całego stronnictwa, że Czesi chcą silnej Austryi, dadzą jej więc i wojska i pieniędzy tyle, ile koniecznie potrzebuje do tego, aby rzeczywiście być silną. To oświadczenie Kramarza przechyliło czarę, w której się już zbierała żółć „narodu" przeciw Młodoczechom. Ponieważ w początku marca Körber, jak lisowi przystało, zaczął łudzić Czechów ministrem-rodakiem i wskazał przytem Kramarza, patryoci przeto radykalni w kraju znaleźli jeden więcej jeszcze powód do natarcia nietylko na najwybitniejszego człowieka w stronnictwie, ale i na całe stronnictwo, jak jest.

Wiadomo dobrze z historyi, jak łatwo, a z jakiem nieraz powodzeniem pewna grupa ludzi, nawet niewielka, często szczupła garstka, gdy ją opanuje człowiek śmielszej natury, umie występować w imieniu całego kraju i narodu, póki wreszcie sama przez zahypnotyzowanie opinii nie stanie się i tym „krajem" i tym „narodem." Taki dziś jeszcze charakter mają ci radykaliści czescy, którzy na wiecach zwoływanych już przed świętami piorunowali na zgubną łagodność młodoczeską i sami wnosili w życie polityczne nietylko sroższy temperament, większe, górniej brzmiące słowa, ale i coś w rodzaju programatu narodowego, dającego się sprowadzić do bezwzględnego i bezwarunkowego obstawania przy swojem dobrem prawie. Tłomacząc to hasło na język rozsądnych praktycznych celów i prowadzących do nich trudów, prac i robót, powiedzieć potrzeba o młodych radykalistach czeskich, że chcą, aby koło poselskie w Wiedniu dopóty prowadziło obstrukcyę, współdziałając z Wszechniemcami, dopóki w cesarzu austryackim nie ocknie się król czeski, nie zapewni Czechom odrębności ujmowanej w nazwę prawa państwowego czeskiego z czasów Rudolfa II, nie przyjedzie do Pragi i nie ukoronuje się na króla czeskiego. Inny radykalizm tych młodych byłby ich niegodnym, nie różniłby się zasadniczo od niedołęztwa Młodoczechów — i nie zasługiwałby nawet na dziennikarskie wzmianki.

Ale taki, jedynie wobec Młodoczechów uzasadniony, radykalizm byłby zarazem i radykalizmem głupoty. Dla obrony praw tak wielkich, że je aż za ogólnie-narodowe świętości uważać potrzeba, nie robi się obstrukcyi w jakiejś Izbie współsejmowej: opuszcza się wręcz tę Izbę i wytwarza sobie nową, swoją własną, w jawnej już, otwartej wojnie z tym, kto prawa lekceważy, a mógłby uszanować i w odpowiednią rzeczywistość polityczną wcielić. Taki radykalizm ze stanowiska namiętności zbiorowej, ogarniającej jak płomień i jak płomień też zapalającej i niszczącej — byłby rozumnym, w danej chwili nakazanym i koniecznym. Taki radykalizm miałby prawo wrzasnąć Młodoczechom: „Precz, teraz kolej na nas!" Takim jednak nie jest radykalizm dzisiejszych krzykaczy czeskich. Mącą oni tylko pojęcia, wichrzą, wprowadzają niekarność w szeregi, pieką przy ogniu dobrej wiary tłumów pieczeń własnych ambicyj: żywotnej jakiejś zasady logicznej, sprawiedliwej krytyki, logicznego, celowego rozpędu nie wprowadzają do czynnej polityki narodowej. Jeżeli im się

mimo tego ubóstwa uda przez czas dłuższy podkopać panujące dziś stronnictwo, zwichnąć jego obecny kierunek, Czesi znajdą się w sposób dziś dla nich samych nieprzewidziany pod działaniem wpływów, które przed piętnastu laty przebijały się również w radykalizmie wojującym ze Staroczechami. Ich wykształcenie polityczne, mające na razie wyrobić i ustalić w nich samowiedzę rzetelnie, indywidualistycznie narodową, dozna przez taki nowy przewrót daleko większej krzywdy, niż Habsburg i Austrya — wzięte za cel siarczystych pocisków. Obałamucenie narodu, który już zaczął się otrzeźwiać, będzie jedynym skutkiem wszczynającego się obecnie ruchu.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Minął 15 b. m., minęły święta stylu wschodniego, a do zapowiadanego powstania powszechnego w Bulgaryi nie przyszło. Są jednak ruchy drobne, ustawiczne, połączone z potyczkami przeważnie dla wojska tureckiego pomyślnemi. Liczbę oddziałów na południu, z prawego brzegu Wardaru podają doniesienia sofijskie okrągło na 50; mniejsza nawet liczba wystarczy do podtrzymania wrzenia, jedynego celu praktycznego, jaki Bulgarowie mieć przed sobą mogą. Wrzenia potrzebuje i dyplomacya formalnie popierająca reformy: nawet żądane tracą coraz bardziej na wartości przez ruch zbrojny Bulgarów. Co wystarczało w końcu lutego, może się okazać niedostatecznem w końcu kwietnia. Postawa Albańczyków przychodzi tu z pomocą, a więcej jeszcze — jeśli nie pobłażliwość, to przynajmniej wielka dla nich względność sułtana, jakby nieśmiałość wobec tych najlepszych Turków, za jakich Albańczyków uważać należy. Podobno jednak zebranych jest już 35 batalionów około Mitrowicy i Ipeku, a na dowódcę przybyć ma Omer Ruždi-basza. Z powodu tego nagromadzenia sił Austrya zażądała jakoby wyjaśnień—dość oryginalne współdziałanie z Turcyą dla uspokojenia.

Zabójca konsula mitrowickiego, Szczerbiny, Ibrahim, oddany ponownie pod sąd, skazany został na karę śmierci; ale i tu podobno sułtan, pomimo niebezpieczeństwa, jakiem grozi opór, waha się, czy pozwolić na powieszenie. Mają być i wspólnicy głównego sprawcy pociągnięci do odpowiedzialności.

Podobno mocarstwa radzą nad wysłaniem pełnomocników wojskowych do armii tureckiej, działającej przeciw powstańcom w Macedonii.

Książę Ferdynand wyjechał do Europy, zostawiając regencyą ministrom — i może coś więcej jeszcze — swobodę działania w stylu macedońskim.

Loubet objeżdża Algeryę. Był w Oranie, pojechał w głąb kraju między Kabylów, podobno przyjmowany z zapałem. Z Algeryi zawita do Tunetanii. W Marsylii, gdy będzie wracał, powitają go floty wielu państw, nawet Stanów Zjednoczonych Amer. Półn. Witały go już d. 15 b. m. w Algerze.

Niejaki Wessel, aresztowany w S. Remo, rozpowiada ciekawe historye o intrygach w procesie Dreyfusa 1898 r., miotając obelgi na cesarza Wilhelma; jest prawdopodobnie szpiegiem.

Francya nie wytrzymałaby bez skandalu. Teraz znowu syn Combes'a miał zobowiązać się względem kartuzów do wyjednania im prawa osiadłości we Francyi — za pieniądze — milion do półtrzecia miliona franków. Głównymi krzykaczami są tu Besson i *Le petit Dauphinois*.

Inni oskarżają Saint'a, zięcia ministra handlu, Trouillota. Rzucono też oskarżenie na b. gubernatora Algeryi, Révoila, który przed samym przyjazdem Loubeta podał się do dymisyi.

Kartuzi postanowili się bronić z pomocą ludności okolicznej — licząc na popularność, jaką sobie zyskali — wyrabianiem likierów — powołanie chyba nie duchowne; tych fabrykantów mogła Izba zostawić przy ich zajęciu, dla rzeczypospolitej chyba nieszkodliwem.

W Hiszpanii ruch republikański bardzo wybitny. Niedawne zaburzenia uniwersyteckie były z nim związane. W całym kraju odbywano wiece, z ogólnym udziałem podobno 300 tysięcy wyznawców republikanizmu. Na czele odrodzonego stronnictwa stanąć ma Salmeron.

Ces. Wilhelm podczas odwiedzin w Kopenhadze podniósł podobno projekt małżeństwa swego syna, następcy tronu, z młodszą córką księcia kumberlandzkiego w zamian za zwrot Brunświku. W lecie ma się zobaczyć z samym księciem w Austryi, a przyszły narzeczony odwiedzi dwór badeński.

W Marokku powodzi się coraz lepiej Bu-Hamarze; wygląda na to, jakby miał osiąść na sułtanacie. Hiszpania wysłała do swych warowni nadmorskich artyleryę i wzmocniła załogi.

Szell odbywał narady z Körberem, Gołuchowskim i Pittreichem; był też u cesarza z żądaniem dymisyi, od której wszakże odstąpił. Podobno w sejmie węgierskim rząd oświadczy się za służbą dwuletnią, ażeby złagodzić opozycyę, która na pierwszem posiedzeniu po świętach wyprawiała sceny w sejmie o 2 kadetów wydalonych. Podobno arcyks. Ferdynand ma zjechać do Pesztu dla wywarcia wpływu uśmierzającego.

W Wenezueli wojsko rządowe pobiło Rolanda.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Walka z gruźlicą.

Zapewne w żadnym okresie historyi medycyny nie mówiono i nie pisano tyle, co dzisiaj o chorobie, zwanej suchotami płuc, które w świetle naszej obecnej wiedzy nie są już uważane za zaraźliwe, a tylko za udzielające się. Obcowanie z chorym na tuberkuły, pilnującym swych plwocin, nie przedstawia żadnego niebezpieczeństwa. W sanatoryach dla suchotników, gdzie zachowane są wszystkie przepisy co do plwocin, jest się mniej narażonym na nabycie suchot, niż gdziekolwiek bądź indziej. Dziś łatwiej ustrzedz się gruźlicy, niż dyfteryi, szkarlatyny lub ospy. Samo stykanie się z suchotnikami nie zaszczepia choroby. To też uważanie ostrożnego i sumiennego suchotnika za istotę, dotkniętą chorobą niebezpieczną i zaraźliwą jest rzeczą nienaukową, niesprawiedliwą i nieludzką. Skutki takiego stanowiska bywają bardzo zgubne; zupełnie zdrowi pracownicy zostają uwalniani ze służby, dlatego, że mieszkają z chorym na gruźlicę. Całe gminy, położone w szczególnie sprzyjających warunkach klimatycznych, które poprzednio dozwalały suchotnikom przebywać tłumnie w pensyonatach pozbawionych nadzoru, przerzuciwszy się potem w drugą ostateczność, stawiają opór budowaniu dobrze prowadzonych sanatoryów w swem sąsiedztwie. A jednak sanatorya są nietylko instytucyami uzdrawiającemi, lecz stanowią prawdziwe szkoły

---

3)

Wacław Sieroszewski.

POWRÓT,

POWIEŚĆ.

Przystań mieściła się tuż pod miastem, u wybrzeża zabudowanego hurtownymi składami o szerokich drzwiach i małych okienkach. Była to mała, płytka, spokojna zatoka, służąca zwykle za śmietnik nadrzecznym mieszkańcom. Obecnie statki gęsto ją wypełniały. Ogromne „pauzki,“ przybyłe z wiosennym rozlewem, zbite według prastarych kozackich wzorów z prostych desek sosnowych—ciężkie, niezgrabne, żółto-białe — wyglądały w zmielałej zatoce, jak trupy mamutów, wyrzucone przez powódź i ugrzęzłe beznadziejnie w mułach. Woda już nie rządziła nimi, a szeroko otwarte drzwi, okna i luki świadczyły o opróżnionem od towarów wnętrzu. Obok stały lżejsze i zgrabniejsze kajuki, kryte i niekryte galary, szkuty, baty, to próżne, to pełne pak, beczek, worów, pęków żelaztwa, stosów skór, zwojów sznurów... Tu i owdzie szary łańcuch statków roboczych przerywała elegancka, spacerowa barka kupiecka, biało malowana, z czerwonymi lub niebieskimi szlakami na burtach, z kotwicą u dzioba, z mostkiem u rudla i malowanym masztem pośrodku, zdradzająca względną czystością zupełną swą bezużyteczność. Wszędzie roił się tłum ludzi, barwnie ubranych w kolorowe, perkalowe koszule, w szerokie manszestrowe rajtuzy, w kurtki kortowe, aksamitne lub „szwedzkie“ skórzane, z malinową podszewką; w czapkach, w kapeluszach, w bermycach, zwykle zawadyacko naciśniętych na bok albo zepchniętych na tył głów kosmatych. Były to przeważnie postacie rosłe, zamaszyste, podpasane powrozami lub pasami, czasem bose, ale zawsze z nożami u boków, z szorstkimi, opiłymi rysami, ze spojrzeniem mętnem, tajemniczem, jak drzwi zamknięte. Czasem przewinęła się wśród nich oliwkowa twarz Jakuta ze świecącemi, wązkiemi oczkami lub rumiane i białe, jak „pszenna bułka,“ oblicze miejskiego kupca w meloniku na głowie i w „ucywilizowanym“ paltocie. Wszyscy ruszali się, gadali i przedrzeźniali się... klęli,.. klęli zajadle, z upodobaniem i fantazyą. Jednocześnie brzeg jęczał pod kołami wozów, rozwożących towary, pod uderzeniami przetaczanych skrzyń i okseftów. We wnętrzu statków huczało, jakby tam tłukły się roje zamkniętych bąków olbrzymich. Rozbierane na deski „pauzki“ dudniły pod uderzeniami młotów i siekier, jak wspaniałe bębny... Warczały zgrzytliwie sztaby i blachy przerzucanego żelaza... I co chwila ponad ten wielogłosy koncert buchały to tu, to tam, zbiorowe, głuche jęki gromad ludzkich, dźwigających lub zrzucających z siebie nadmierne ciężary. W powietrzu rozchodziła się woń mułu, smoły, schnącego drzewa i potu ludzkiego. A po za wszystkiem rozpościerał się błękit nieba i modra płachta potężnej rzeki, oddzielona od zatoczki niziutką i wązką strzałką żółtego piasku. Rzeka mknęła szybko, obojętna na kłopoty ludzkiego roju, zajęta wyłącznie własnym celem, majaczącym niewyraźnie w odległych błękitach. Po jej zwierciadle, wysrebrzonem bruzdami nurtów, łuskami świerzy, dążyły na ukos, ku miastu od mglistych brzegów przeciwnych nieliczne, wiotkie, podobne do szklarek łódeczki krajowców, lub sunęły ciężkie „karbasy,“ przewalając niezgrabnie szerokiemi jak pletwy wiosłami. Niekiedy „kajuk“ z wydętym, białym żaglem przepływał lekko w podmuchach niedostrzegalnych na lądzie wiatrów.

hygieny, są dobrym przykładem dla tych gmin, w których zostały wzniesione. Starannie prowadzona statystyka, rozciągająca się na okres pięćdziesięcioletni, dowodzi w sposób rozstrzygający, że od czasu pobudowania sanatoryów dla gruźliczych śmiertelność z przyczyny suchot wśród wieśniaków Goerbersdorfu i Falkensteinu — tych miejscowości, w których wznoszą się najbardziej kwitnące sanatorya niemieckie w liczbie pięciu — faktycznie zmniejszyła się o jedną trzecią.

Przez powiększenie niebezpieczeństwa gruźlicy stwarzamy inną chorobę, którą możnaby nazwać ftyzofobyą. Znakomity redaktor nowojorskiego pisma lekarskiego, *New York Medical Journal*, powiedział bardzo słusznie: „Należy ludzi uczyć, że tuberkuloza nie jest potworem, którego trzeba unikać, lecz niebezpieczeństwem, które można skutecznie zwalczać.“

Ze wszystkich chorób udzielających się najłatwiej ustrzedz się gruźlicy. Że można jej zapobiedz przez kształcenie (nie straszenie) mas i nakłanianie ich do posłuszeństwa przepisom zdrowotnym, dowodzi usiłowanie Nowojorskiego Wydziału Zdrowia, pod kierunkiem dr. Hermana M. Biggsa. Pomimo wielkiego braku ułatwień szpitalnych udało mu się w ciągu kilku lat w uderzający sposób zmniejszyć śmiertelność z powodu gruźlicy, jedynie przy pomocy środków zapobiegawczych. Polegały one na ustnem pouczaniu rodziny, wśród której znajdował się chory gruźliczy, przez inspektorów zdrowia, lub za pomocą rozpowszechnienia odpowiedniej literetury; dr. Biggs obstaje przy twierdzeniu, że gruźlica jest jedynie chorobą udzielającą się a nie zaraźliwą. W cyrkularzu, wystosowanym do nowojorskiego Wydziału Zdrowia powiada:

„Jeżeli plwociny bywają właściwie niszczone, to osoba cierpiąca na gruźlicę może nietylko spełniać swą zwyczajną pracę bez udzielania choroby innym, ale nawet przyczynić się do polepszenia swego właściwego położenia i umożliwić sobie wyzdrowienie.“

Na ostatnim kongresie przeciwgruźliczym w Londynie prof. Koch poparł to zapatrywanie w zupełności, wyrażając się bardzo pochlebnie o skutecznej metodzie dr. Biggsa.

Całkiem niepotrzebne stawianie chorogo gruźliczego w zbyt przykrem położeniu ten tylko osiąga skutek, że pacyenci w pierwszych stadyach choroby wstrzymują się od szukania porady lekarskiej, i przychodzą po nią wówczas, kiedy zwykle bywa już zapóźno.

Suchot nie odziedzicza się prawie nigdy, a skłonność do choroby może być równie dobrze odziedziczona jak i nabyta. Jest to jedna z najczęstszych chorób. Jakkolwiek śmiertelność została zmniejszona w miejscowościach, w których zaprowadzono środki zapobiegawcze, gdzie istnieją dostateczne urządzenia szpitalne, to jednak średnia śmiertelność z gruźlicy jest jeszcze ciągle bardzo wielka, bo każdy siódmy przypadek śmierci przypada na rachunek suchot.

Gruźlica pustoszy szeregi biedaków, źle mieszkających, licho odżywianych, nieumiarkowanych w piciu, wreszcie ludzi osłabionych wskutek nadużyć, usposabiają też do niej choroby oraz pewne rodzaje zajęć.

Suchoty płucne ze wszystkich chorób najłatwiej dają się leczyć. Im wcześniej pacyent podda się opiece lekarskiej, tem jest większe prawdopodobieństwo zupełnego wyzdrowienia. Leczą zaś je dzisiaj jedynie i wyłącznie lekarze drogą naukowego i sumiennego stosowania takich środków jak: świeże powietrze, słońce, woda, obfite i dobre pożywienie, mleko, jaja, mięso, jarzyny, owoce, jakoteż pewnych substancyj leczniczych tam, gdzie tylko co wymienione środki hygieniczne i dyetetyczne nie wystarczają do zwalczenia choroby. Pacyenci mogą się leczyć we wszystkich niemal klimatach, gdzie tylko mieć można czyste powietrze, i gdzie wahania pomiędzy zimnem a gorącem nie są zbyt wielkie.

Nie istnieje specyalny klimat dla suchot, i nie mamy też do tej pory specyalnego na nie lekarstwa aptecznego. Gruntowny i nieustanny nadzór nad chorym, natychmiastowa pomoc, gdy pojawiają się dawne symptomy lub występują nowe, przepisanie właściwego jadła i napoju, może być dokonane tylko przez doświadczonego lekarza, w dobrze urządzonem sanatoryum, lub też, jeżeli warunki na to pozwalają, w odpowiednio przystosowanem mieszkaniu prywatnem.

Wobec faktu, że suchoty tak bardzo się dziś rozpowszechniły pytanie, co można i co należy czynić w celu zwalczania ich?

Po pierwsze, w każdem mieście powinna być specyalna komisya mieszkaniowa, czuwająca nad ulepszeniem mieszkań biedaków i uczynienia ich zdrowemi.

Po drugie, specyalna komisya fabryczna, powinna pilnować, aby fabryki i warsztaty były zbudowane i prowadzone z uwzględnieniem warunków zdrowotnych; aby nie pracowano w nich dłużej, niż ustawa pozwala; aby w całym zakładzie znajdowała się dostateczna ilość dobrze utrzymywanych spluwaczek; aby plucie nie do spluwaczek było karane, pierwszy raz grzywną, a następnie uwolnieniem od pracy.

Po trzecie, należałoby stworzyć odpowiednie miejsca rozrywek, gdzieby sprzedawano lekkie piwa i napoje niealkoholowe, po cenach przystępnych, w celu zmniejszenia pijaństwa, które jest jednym z czynników najsilniej sprzyjających rozwojowi gruźlicy.

Po czwarte, specyalna komisya gruźlicza, powinna czuwać nad rozwojem gruźlicy i chorób skrofulicznych u dzieci. Praca jej polegałyby na rozpowszechnianiu wśród młodych matek, za pomocą odczytów i odpowiednich wydawnictw, wiedzy pouczającej, jak się zapobiega chorobie u dzieci; 2) na rozciągnięciu opieki nad publicznymi przytułkami dla dzieci i sierot, nad urządzeniami sanitarnemi w szkołach; 3) na zapobieganiu przeciążenia pracą umysłową; 4) na zakładaniu sal gimnastycznych, miejsc dla zabaw, małych parków, zwłaszcza w dzielnicach gęsto zaludnionych; 5) na dostarczeniu, uczącym się w szkołach, dzieciom rodziców biednych obfitego posiłku w porze południowej; 6) na przestrzeganiu pracy dzieci; 7) na wychowywaniu dzieci gruźliczych w specyalnych sanatoryach szkolnych, położonych w szczególnie zdrowych okolicach kraju.

Prócz tego, w każdej miejscowości powinien istnieć specyalny komitet zdrowia publicznego, który: 1) poddawałby dezynfekcyi mieszkania, zajmowane przez suchotników, na żądanie rodziny lub lekarza; 2) rozpowszechniałby literaturę nauczającą, jak zapobiegać suchotom; 3) prowadziłby statystykę wypadków zachorowań, śmierci na suchoty; 4) nadzorowałby rzeźnie, mleczarnie, i gospodarstwa mleczna w celu zapobieżenia rozpowszechnianiu się gruźlicy drogą zakażonych substancyj pokarmowych. O każdym wypadku tuberkulozy lekarz ordynujący winien niezwłocznie zawiadomić i, jeżeli on sobie tego życzy, inspektor zdrowia powinien być posłany do mieszkania pacyenta w celu udzielenia ustnych objaśnień co do przepisów profilaktycznych. Komitet zdrowia publicznego winien rozdawać darmo, lub za cenę kosztu, spluwaczki kieszonkowe na użytek chorych gruźliczych, i mieć pod swoim nadzorem

---

Krok w krok za Andrzejem przepchnął się Stefan przez tłum i wszedł na most statków, połączonych wąziuchnemi deskami. Musieli przebyć cały ich szereg, zanim dostali się na pół obdartą z obszycia „pauzkę,“ świecącą żebrami szkieletu, niby oprawiony wieloryb. We wnętrzu pauzki uwijali się ludzie z siekierami, dłutami, obcęgami. Gromadka ich siedziała u ognia, płonącego pośrodku na ceglanej platformie. Były to te same postacie w kolorowych koszulach, w futrzanych czapach, w szerokich szarawarach, z nożami u pasów. Nie obejrzeli się nawet na przechodniów, grzejąc dalej z niezmąconą powagą spracowane ręce i przez dziury przeświecające kolana. Kiedy Andrzej spytał, gdzie jest Damian, któryś z nich odburknął półgębkiem, że Damiana niema... ale jest Koźma. Wyglądało to na żart, więc Karski się zawahał, ale Andrzej spokojnie udał się we wskazanym kierunku i spytał mężczyznę, czerpiącego kociołkiem wodę z rzeki:

— Gdzie tu jest Czernych, przezywany Damianem?

Mężczyzna zwrócił ku nim smutną, podłużną, zawiędłą twarz pustelnika, zakończoną długą, rozdwojoną brodą.

— Nie wiem! — wyrzekł głucho.

— To jest właśnie ten pan, który chce z nim jechać... — ciągnął niezrażony Andrzej.

Nieznajomy zajął się wyławianiem palcami z kociołka zaczerpniętych z wodą wiorów i kolorowych papierków.

— A wiem!.. Słyszałem... Nie wiadomo, czy co z tego będzie... — bąknął niespodzianie, po długiem milczeniu.

— Jakto? Dlaczego?

— *Oni* podobno jadą... z panią... Więc kupcy, co przedtem najęli miejsca, nie zgadzają się... Mówią, że to się nie nadaje, że będzie im... tęskno!

— A wy kim jesteście? — spytał Stefan.

— Jestem wspólnikiem Damiana, Koźmą niby... Ale ja co? — ja nic... Ja się zgodzę, byle nie było gorzej!..

— Co to za kupcy? Może trzeba, żebym się z nimi zobaczył, pogadał?..

Koźma znowu zwrócił ku nim swą twarz pustelniczą.

— To już... jak powie Damian... Byle nie było gorzej... Oj, grzechy, przewinienia nasze...

Westchnął, wstał i poniósł kociołek do ogniska. Stefan z Andrzejem zostali na miejscu.

— Cóżeś mówił, że zgadzają się? — wyrzucał chłopu Karski.

— Niech pan poczeka! Co on wie?.. Nie wiedziałem nawet, że istnieje taki jakiś Koźma... Może on łże!..

Ale Koźma nie kłamał. Gruby, tęgi, czerwony Damian, który wkrótce nadszedł, potwierdził wieść o oporze kupców i zawołał Koźmę do wspólnej narady. Ten smętnie stanął w milczeniu obok wspólnika.

— Jeżeli kupcy się zgodzą, to lepszego nie mogło nawet być skutku dla pana. To lepiej, że się pan na parostatek spóźnił, niech pan będzie pewien, nie przyjdzie panu żałować. Oni muszą już gdzieś do tej pory na mieliźnie siedzieć, a my zwolna, ale ciągle posuwać się będziemy naprzód... A bo to raz, zdarzało się parostatki wyprzedzać, czy nie prawda, Koźma?.. Pamiętasz w przeszłym roku u „Pijanego Byka.“ Rozpuściliśmy żagle i jazda, panie gwiazda...

Koźma głową kiwał, lecz nie wiadomo było, czy przeczył, czy przyświadczał.

— Aby się jeno kupcy zgodzili! — westchnął wreszcie.

— A ileż będzie mnie ta cała awantura kosztowała? — spytał Karski.

— Niech się pan wpierw z kupcami umówi... Co tam zawczasu gadać. Prawda, Koźma? Kupcy szanowni, powszechnie znani ludzie, panowie Brylkin, Gubkin i Tereszkin!

wielkie spluwaczki, rozmieszczone po całem mieście. Te ostatnie mogłaby spłukiwać nieustannie płynąca woda, by nie obrażać zmysłu estetycznego, i nie czynić z nich źródła zarazy.

W każdem mieście powinna się znajdować specyalna komisya gruźlicza dla dorosłych, złożona z lekarzy i laików, w celu badania przypadków gruźlicy wśród biedaków, sprawdzania majątkowego położenia pacyentów, ich sanitarnego i ogólnego otoczenia, i ocenienia, czy należy ich leczyć darmo czy nie; czy przez usunięcie pacyenta rodzina znalazłaby się bez utrzymania, a w takim razie opiekę nad nią należałoby poruczyć gminie. Ta sama komisya musiałaby zbadać innych członków rodziny chorego, aby w razie zarażenia zacząć ich leczyć.

Każde miasto większe powinno mieć towarzystwo sanatoryalne, czyli przeciwgruźlicze. Celem tych towarzystw byłoby, prócz nauczania ustnego lub przy pomocy odpowiedniej literatury, jak się zapobiega rozszerzaniu gruźlicy, wspieranie ruchu sanatoryalnego — to znaczy budowanie sanatoryów dla biednych, chorych na gruźlicę, jakoteż dla pacyentów niezamożnych, będących w różnych stadyach tej choroby, wreszcie specyalnych ambulatoryów dla suchotników.

Wszyscy myślący obywatele powinni łącznie działać przeciw ciągle rosnącemu wyludnianiu się zdrowych okolic wiejskich i przenoszeniu się mieszkańców ich do miast wielkich. Szczególnie lekarz domowy ma tu ważne zadanie do spełnienia. Powinien on skłaniać młodszych członków rodziny, zdradzających usposobienie do gruźlicy, aby osiedlali się na wsi i tam szukali pracy na wolnem powietrzu.

LISTY GALICYJSKIE.

Kolportaż w Galicyi. — Odczyty. — Występy W. Lutosławskiego. — *Eleusis*. — Napaść *Gazety Kościelnej*. — Agitacya klerykalna. — Napływ zakonników francuskich. — Zjazd „Jedności.“ — Sprawa Wawelu.

Jak wiadomo, Austrya jest jedynem państwem na kontynencie europejskim, w którem zakazany jest dotychczas kolportaż uliczny pism i wszelkiego rodzaju wydawnictw. Nienormalność istniejącego stanu rzeczy jest faktem powszechnie uznanym, to też niema ludzi (po za garstką konserwatystów najbardziej zacofanych), którzyby nie pragnęli jak najszybszej reformy w tym kierunku, a zapowiedziany przez ministra Körbera projekt nowej ustawy prasowej przedewszystkiem znosi zakaz kolportażu. Tymczasem, zanim wejdzie w życie reforma ustawy prasowej, wydawcy zaczynają go pomijać. Dotychczas praktykowali to jedynie księża, rozpowszechniając wśród ludu swoje wydawnictwa, szerzące obskurantyzm średniowieczny i niemoralność. Władze patrzyły przez palce na to nadużycie; wśród najciemniejszych mas rozchodziły się więc bajdy klerykalne, urągające zdrowym zmysłom. Obecnie za przykładem klerykałów idą i inni wydawcy. Oto, niezbyt dawno powstało w Krakowie brukowe pisemko codzienne *Kuryer Krakowski*. Ono to, korzystając z okoliczności, że wśród właścicieli dziennika znajduje się jakaś figura z dyrekcyi policyi, puściło na Kraków mnóstwo chłopców 7—12-letnich, którzy krążą po ulicach, wchodzą do kawiarni i wciskają gościom *Kuryer*. Publiczność pomału przyzwyczaiła się do tego, a za przykładem *Kuryera* poszły i inne pisma. Dziś otwarcie sprzedaje się na ulicach nowopowstałe, poważne pismo satyryczne *Liberum Veto*, można też od kolporterów otrzymać *Nową Reformę*, *Iskrę*, *Eleusis* itd. Pomału w ten sposób zakaz kolportażu idzie w niepamięć i uchwalenie reformy prasowej będzie tylko usankcyonowaniem istniejącego stanu rzeczy, przynajmniej co do sprawy kolportażu.

Każdego, kto przybywa do Krakowa lub Lwowa, musi uderzyć mnóstwo ogłoszeń o odczytach publicznych. Niema dnia, aby gdzieś nie odbywał się jakiś odczyt. Tu Towarzystwo przyrodników im. Kopernika ogłasza seryę lekcyj o dziejach ziemi, tam nowoutworzone Towarzystwo pielęgnowania nauk społecznych zapowiada szereg odczytów „o wsi polskiej.“ Uniwersytet ludowy im. Mickiewicza, Trzeźwość, profesorowie, lekarze, prawnicy, księża — wszystko to zapowiada odczyty z najróżnorodniejszych dziedzin nauki i życia ludzkiego. Nowy dramat Wyspiańskiego wywołał cały szereg odczytów o „Wyzwoleniu,“ wszelkie rocznice historyczne są z reguły komentowane w ten sposób, a nie brak i odczytów sensacyjnych, ściągających publiczność nie tyle ze względu na treść, ile na osobę prelegenta.

Do takich należą występy publiczne p. Wincentego Lutosławskiego, gromadzące z jednej strony garstkę histerycznych zwolenników coraz to nowych ekscentryczności mistrza, a z drugiej — tłum osób, żądnych zabawy kosztem chorobliwego stanu umysłu nowego Towiańskiego. Niedawno mury i parkany Krakowa pokryte były olbrzymimi, różnobarwnymi afiszami, zapowiadającymi odczyt p. W. Lutosławskiego o „Królu Duchu.“ Afisze, ściśle utrzymane w tonie barnumowskim, ściągały dość znaczną liczbę słuchaczy, żądnych sensacyi, ale nie zadowoliło to jeszcze prelegenta. I oto na murach Krakowa ukazuje się następujący plakat: „Znakomity komik, prof. Wincenty Lutosławski, szerzyciel pijaństwa, karciarstwa, rozpusty, daje dziś w sobotę, o godz. 5 po południu, w sali hotelu Saskiego, pod pretekstem wykładu o Królu Duchu, przedstawienie o: Nas, współpracownikach Dyabła, Satyra, Bociana, Liberum veto, Naprzodu, Śmigusa, Piki, Karykatur, Małpiego Zwierciadła, Pawiego Ogona i Kukuryku. Zapraszamy wszystkich naszych czytelników na tę biesiadę muskułów i śmiechu. Skonsolidowany syndykat humorystów krakowskich.“

Plakaty te zgromadziły na odczyt p. Lutosławskiego olbrzymią ilość publiczności, pomimo wysokich cen wstępu. P. Lutosławski rozpoczął swą rzecz od podziękowania tym wszystkim, którzy „zdzierali obrzydliwe plakaty, ośmieszające go.“ W odpowiedzi na to dają się słyszeć głosy: „Sam prelegent kazał te plakaty rozlepiać!“ P. Lutosławski nie zwraca na to uwagi i po kwadransie odczytywania ustępów z „Króla Ducha,“ z dodaniem kilku paradoksalnych komentarzy, oświadcza, że to, co zapowiedział w programie odczytu (zestawienia humoru Słowackiego z humorem Wyspiańskiego i pism humorystycznych) wypowie nazajutrz, ponieważ widzi, że większość publiczności zgromadziła się nie dla wysłuchania odczytu, tylko dla zabawy. W staje więc i kończy „odczyt“ wśród okrzyków oburzonej na taki podstęp publiczności. Ktoś jeszcze raz pyta p. Lutosławskiego— kto rozlepił afisze? — Nie wiem! — odpowiada prelegent. — Sam pan kazał je rozlepiać! — P. Lutosławski znika pospiesznie, publiczność rozchodzi się, a w parę dni potem w prasie krakowskiej zostało stwierdzone, że afisze owe były ułożone i rozlepione z wiedzą p. Lutosławskiego, który sam robił ich korektę.

Karski musiał udać się do miasta, do gospody, gdzie mieszkali kupcy. Zastał ich w grubym negliżu, pijących herbatę przy otwartem oknie. Było ich trzech: dwóch tłustych, jeden chudy. Bryłkin był najstarszy, średni Gubkin miał i tuszę średnią, a najmłodszy Tereszkin wyglądał, jak nabity sadłem pęcherz. Po wielu namowach, ceregielach, prośbach zgodzili się na podróż z Karskim i jego żoną, wymówiwszy sobie, że im będzie wolno śpiewać, o jakiej im się porze podoba.

— To błahostka! O to niech się pan nie spiera! Spać na łodzi można choć dzień cały. To nie parowiec — nie ryczy, nie gwiżdże. Posuwa się leciuchno jak łabędź, kołysze się słodziuchno jak paw!

— Ileż weźmiecie za miejsce?

— Trzydzieści rubli.

— Co?! Trzy razy tyle, co na parostatku?!

— Niech mi pan parostatkiem oczów nie wykłuwa. Co on jest, ten parostatek?.. Co za taka osobistość?!.. Jeżeli go pan tak ubóstwia, to niech pan czeka nań do przyszłego roku... a my popłyniemy!.. My po staremu, jak ojcowie nasi: wolniutko, statecznie, na pewniaka! Czy to parostatek, na ten przykład, wysadzi pana, gdzie pan sobie upodoba, albo zatrzyma się na żądanie, albo zwolni, albo przyspieszy... Gdzie zaś — leci jak szalony, kołysze się i robi wiatr... Parostatek dogodny tylko dla kapitana, co siedzi sobie spokojnie w budce i komenderuje... Pasażery — w zaduchu, w błocie, w ciasnocie!.. My co innego: my na wolnem, otwartem powietrzu podróżujemy, na słoneczku, w przyjaźni wielkiej, niby na majówce... Parostatek sobie, a my sobie!.. Co on jest, kto on jest ten parostatek!.. Pluję ja na parostatek... — perzył się oryl.

Po długich korowodach zgodził się kilka rubli opuścić.

— Darmo bym pana powiózł, jak Boga kocham, lecz ten Koźma... wspólnik... twardy człowiek. Milczy, ale nigdy się nie zgadza... — zwierzał się poufnie Karskiemu.

Ten zgodził się, gdyż nie miał wyboru. Inne łodzie odpływały znacznie później. Coby więc mógł zyskać na tańszym przejeździe, to straciłby przez dłuższy pobyt w mieście.

— Bardzo dobrze!.. Zupełnie dostatecznie dobrze! — mówił Damian, chowając do kieszeni zadatek. — Szkoda jednak, że pan nie pogadał z kupcami o odzieńku. Ludzie otyli, lubujący się w chłodzie... Trzeba było wymówić sobie odzienie!

— Dlaczegóżeście przedtem nie powiedzieli? Nie wiedziałem, że mogą chodzić nago?!

Damian nadął policzki.

— Nago może i nie będą chodzić, ale... w bliskości wody zdarza się natchnienie rozmaitemi myślami...

Odjazd wyznaczono nazajutrz rano. Dzień zszedł na pakowaniu rzeczy, zakupywaniu prowizyi, sucharów, konserw, cukru, herbaty...

Wieczorem wpadł rozpromieniony Leo.

— Wiesz co, znalazłem kupca, który zgadza się dyskontować wszystkie moje weksle, pod warunkiem, że mu wydam nowy... ogólny. Obiecał nawet dopożyczyć jeszcze trochę herbaty i perkalów... Chodzi jedynie o pewnego żyranta...

— Dziękuję ci. Już zawarłem umowę z holownikami. Jutro jadę. Zresztą twoja herbata i perkale niewiele przyniosą ci gotówki, nawet gdybyś... znalazł poręczycieli!..

Leo posmutniał, ale że nie mógł długo pozostać bezczynnym, więc wziął wkrótce żywy udział w nieskończonem jeszcze pakowaniu.

(C. d. n.)

Skandal z plakatami ostatecznie zdyskredytował niefortunnego proroka, odgrywającego w ostatnich czasach wstrętną rolę klerykalnego naganiacza i przewracającego w głowach niedorostkom płci obojga. Uznał on już sam, że ogłaszanie plakatami odczytów naraża go na śmieszność i wpływ jego podkopuje. Pozostają mu teraz tylko odczyty w zamkniętem kole zwolenników, no, i działalność literacka.

Objawem tej ostatniej jest czasopismo *Eleusis*, mogące dostarczyć bardzo ciekawych materyałów dla psychiatrów. Czasopismo to jest organem t. zw. „elsów,“ zwolenników poczwórnej abstynencyi, kierowanych przez p. Lutosławskiego w duchu prawowierności katolickiej i średniowiecznej wyłączności wyznaniowej.

Ten zwrot w stronę klerykalizmu jasnego, czy zamaskowanego żywiołów, do niedawna uchodzących za postępowe, jak np. demokraci narodowi, ośmiela ogromnie i dodaje otuchy czarnej międzynarodówce na gruncie galicyjskim i pozwala jej podnosić głos już i przeciwko takim instytucyom kulturalnym, jak Towarzystwo szkoły ludowej.

We Lwowie wychodzi pisemko tygodniowe, *Gazeta Kościelna*, organ wzajemnej pomocy kapłanów. Pismo to, poświęcone zawodowym sprawom kleru, z wielką pasyą i niemniejszą ignorancyą zwalcza „liberałów“ i „masonów“ wszędzie, gdzie ich tylko zwietrzy. *Gazeta Kościelna* zamieściła niedawno wściekłą napaść na Towarzystwo szkoły ludowej, a zwłaszcza na jej krakowskie kursa ludowe dla dorosłych analfabetów. Ponieważ na te kursa uczęszczają żołnierze, więc pobożna publicystyka klerykalna denuncyuje wobec władzy wojskowej bezinteresownych pracowników na polu oświaty ludowej. Jaką wartość posiada klerykalna denuncyacya, najlepiej świadczy fakt, że w zakres programu kursów dla analfabetów wchodzi, oprócz nauki czytania, pisania i rachunków, jeszcze i nauka religii, a grono nauczycieli tych kursów składa się z księdza katechety i starszych nauczycieli szkół publicznych.

Armia klerykalna nie zmniejsza się w Galicyi, lecz zwiększa coraz bardziej, choć to zwiększanie się nie zawsze wychodzi na jej korzyść. Znani są na bruku krakowskim i lwowskim działacze klerykalni — Lucyk, Maj, Hacuś i inni, którzy zresztą nie mogą swobodnie rozwinąć swych uzdolnień w kierunku walki z żywiołami „masońskimi“ i „liberalnymi,“ bo nielitościwa ręka sprawiedliwości bardzo często osadza ich na dłuższy czas w kryminale. Świeżo dostał się tam jeden z najdzielniejszych agitatorów klerykalnych, niejaki Węgrzyn. Jest to człowiek bardzo sprytny, który umie wyzyskać na własną korzyść aspiracye klerykalne i posiada wielką rutynę w kierunku zakładania „chrześciańskich“ stowarzyszeń, klubów i nawet partyj. Niedawno Węgrzyn rozpoczął kampanię na szerszą skalę. Wydał on cyrkularz, podpisany przez filary tutejszego obozu klerykalnego: prof. Wicherkiewicza, ks. Gawlickiego, prof. Zazowskiego, prof. Jordana i innych i zbierał pieniądze na mające się założyć pismo klerykalne *Wolność*, tytułując się jego redaktorem odpowiedzialnym i wydawcą. Cyrkularz posiadał takie między innymi ustępy: „Dziś potrzeba stanąć do boju w lepszem uzbrojeniu i z większą energią, a walczyć uczciwie i godziwymi środkami, lecz radykalniej i bezwzględniej. Świadomi niebezpieczeństw, na jakie się narażamy i trudności, jakie będziemy mieli do zwalczenia, zakładamy czasopismo *Wolność* (tygodnik). „*Wolność* występuje w obronie zagrożonych ognisk domowych!.. w obronie naszych interesów religijnych! Wzywamy i zapraszamy!..“ Dawano więc pieniądze „redaktorowi“ pisma, które zapewne nigdy nie ujrzy światła dziennego, dawano tem chętniej, że podpisy wybitnych klerykałów pod cyrkularzem były rękojmią, że jest to przedsiebiorstwo poważne— aż nagle p. Węgrzyn znika w kryminale, i całe przedsiewzięcie kończy się kompromitacyą.

Rzecz dziwna, galicyjscy klerykali rozporządzają stosunkowo bardzo znacznymi kapitałami, obracanymi na różne przedsiebiorstwa, mające na celu walkę ze „wspólnym wrogiem“; nie brak im fanatyzmu i bezwzględności w walce, a jednak wszystkie ich przedsiewzięcia, skierowane przeciwko rozwojowi świadomości mas pracujących, bankrutują po krótszym lub dłuższym czasie. Ich „Przyjaźnie,“ „Jedności“ i tym podobne stowarzyszenia ledwie wegetują, a w końcu zamierają zupełnie. Ich organy — wszelkie *Grzmoty, Krakusy* itd. przez nikogo nie są czytywane i upadają jeden po drugim. A ich agitatorowie zawodowi wcześniej czy później dostają się do kryminału.

Uwalnianie się Francyi od zakonów bardzo nieprzyjemnie odbija się w Galicyi, gdyż wierni swym tradycyom różni panowie Zamoyscy, Lubomirscy itd. nie ustają w trudzie sprowadzania coraz to nowych mnichów i mniszek do Galicyi zachodniej! Od Śląska aż po Tarnów rozsiadają się coraz to nowe siedliska pasorzytów, obcych jak najzupełniej temu społeczeństwu i ludowi, z którego mają wyciskać dochody, idące w znacznej mierze na zasilenie kas wojującego katolicyzmu we Francyi i Rzymie. W ten sposób pieniądze chłopa polskiego pójdą na walkę z istniejącym ustrojem politycznym Francyi i na agitacye przeciwko zjednoczonym Włochom. A rodziny arystokratyczne i burżuazyjne będą coraz liczniej wysyłać swe dzieci do klasztorów na wychowanie w duchu kosmopolitycznego fanatyzmu klerykalnego.

W końcu marca odbył się w Rychwałdzie na Śląsku zjazd oddziałów towarzystwa „Jedność,“ odgrywającego w życiu polskiego społeczeństwa kresów zachodnich bardzo wybitną rolę. Zjazd delegatów „Jedności“ odbywa się co rok w jakimś innym punkcie Śląska; w tym roku wybrano Rychwałd, chcąc dodać otuchy ludności tej gminy, toczącej bardzo ciężką walkę z teroryzmem czechizatorów.

Jakkolwiek ostatni spis ludności wykazał w Rychwałdzie tylko 11 Czechów, to jednak używają oni wszelkich wysiłków, aby wynarodowić tam lud polski. Tak np., ponieważ ta rozległa i ludna gmina posiadała tylko jedną szkołę polską, więc czechizatorowie wybudowali drugą (czeską) w najdalszym jej punkcie, aby te dzieci polskie, które nie mogły z powodu dalekiej drogi korzystać ze szkoły polskiej, chodziły do czeskiej i tam wynaradawiały się. W gminie przeto wre walka z czechizatorami na każdym kroku.

Do końca roku 1902 było na Śląsku 17 czynnych oddziałów „Jedności.“ Na zjazd przybyło 30 delegatów z 12 oddziałów. Liczba członków „Jedności“ dochodzi do tysiąca. Stowarzyszenie zakłada czytelnie ludowe i organizuje odczyty i w ten sposób budzi samowiedzę narodową wśród polskiej ludności robotniczej i chłopskiej, narażonej na czechizacyę i germanizacyę do pewnego stopnia. Obok pracy wewnętrznej „Jedność“ starała się pobudzać do działania, mającego na celu uzyskanie pewnych zdobyczy narodowych. I tak oddział bogumiński próbował wywalczyć u kolei Północnej napisy i wywoływanie polskie. Ponieważ odrzucono podanie wydziałów polskich towarzystw, przeto oddział bogumiński wypracował petycyę, którą podpisała przeważna część przełożeństw gmin, położonych w obrębie jednej godziny drogi od dworca bogumińskiego. Drugą sprawą były starania około pozyskania przy publicznej szkole ludowej w Boguminie polskich paralelek. Podanie, wystosowane do śląskiej Rady szkolnej, a podpisane przez 96 rodziców (dzieci zgłoszonych 246), odniosło ten skutek, że z początkiem maja zjedzie do Bogumina komisya, wydelegowana z ramienia Rady szkolnej, okręgowej celem przesłuchania rodziców, którzy się na podaniu podpisali. Ostatecznie zdobycie polskich paralelek w Boguminie będzie niewątpliwą zasługą „Jedności.“ Zjazd stowarzyszenia postanowił zająć się energiczniej organizowaniem odczytów popularno-naukowych i obchodów rozmaitych, tudzież wydać popularną historyę Śląska i jego stosunku do reszty ziem polskich, jako odpowiedź na niesumienny, pełen fałszów tendencyjnych fabrykat pewnego antypolskiego agitatora czeskiego, rozrzucony w wielkiej ilości egzemplarzy na Śląsku.

Sprawa opróżnienia Wawelu, wlokąca się od tak już długiego czasu, gmatwa się coraz bardziej. Obecnie, kiedy już postanowiono, że od r. 1909 Wawel ma być zupełnie opróżniony z wojska austryackiego, wysuwa się ciekawa kwestya, czyją własnością ma się stać po opróżnieniu. Do roku 1846 Wawel stanowił własność rzeczypospolitej krakowskiej. Po przyłączeniu tej ostatniej do Austryi Wawel stał się własnością *kraju*, a jednak przez 30 lat rząd austryacki robił, co mu się żywnie podobało, z tą własnością krajową. Dopiero podczas pobytu Franciszka Józefa w Krakowie ludność dowiedziała się, że cesarz przyrzekł powrócić zamkowi królewskiemu na Wawelu znaczenie i charakter rezydencyi. Zrozumiano to tak, że cesarz rozkaże usunąć koszary i szpital z zamku, który się stanie rezydencyą panującego, że restauracya zostanie dokonana przez tych, którzy doprowadzili go do ruiny, zatem kosztem państwa i dworu cesarskiego. Tymczasem rząd o tem ani myślał, a sejmowi i Kołu polskiemu nie przyszło do głowy upomnieć się o spełnienie obietnicy. Znów upłynęło lat 20 i sprawa stanęła na tem, że ministeryum wojny odda zamek, otrzymując w zamian nowe koszary i szpital. Miasto Kraków dało na ten cel 300,000 koron, resztę — kilka milionów, wyznaczył sejm. W ten sposób zamek, stanowiący własność kraju, został przez ten kraj jeszcze raz nabyty znacznym kosztem, a tymczasem nikt nie myśli o tem, aby *prawnie* należał do kraju i społeczeństwa. W prasie podnoszą się głosy, ostrzegające przed popełnieniem nowego błędu.

Daleki.

FEJLETON.

VERBUM NOBILE.

—•—

Któż ten mąż?

Pod tym tytułem, piszący te słowa, drukuje w tej chwili w Krakowie rozprawę, obejmującą wyniki jego badań nad liczbą „czterdzieści cztery,“ wymienioną dwukrotnie w „Dziadach.“ Ponieważ jednak sama sprawa zajmuje żywo zarówno krytykę jak i publiczność, przeto niniejszy fejleton ma być autoreferatem.

Liczba „czterdzieści cztery,“ niepokoiła ustawicznie naszych badaczy. Celem jej wyjaśnienia stawiano różne hypotezy. Któż ten mąż? Towiański? Napoleon? Mickiewicz? Ale poszukiwania szły całkiem błędną drogą. Odgadywano liczbę 44. Zamiast tego należało poddać rozbiorowi kilkadziesiąt poprzednich wierszy. Tu nie cho-

dzi bowiem o samą liczbę, ale o zrozumienie tekstu. Powinniśmy, zrozumiawszy tekst, z góry powiedzieć, *co* ma liczba ta oznaczać, a potem dopiero wskazać, *jak* ma ona to oznaczać. Tak postępowała nauka przy badaniu Apokalipsy. Najpierw stwierdzono, że „bestya“ oznacza cesarza Nerona, a potem dopiero wyrachowano, w jaki sposób ona go oznacza. Liczba 666 jest kryptonimem gematrycznym i może mieć wiele znaczeń; trzeba więc wybrać znaczenie *zgodne z tekstem*.

Na nic się tedy nie przyda wyłączne badanie liczby 44; trzeba pierwej zbadać tekst. Ale stał temu na przeszkodzie szczególny daltonizm literacki. Przez kilkadziesiąt lat czytano poprostu tekst Mickiewiczowski *fałszywie*.

Daltonizm barw polega na błędnem widzeniu, daltonizm literacki — na błędnem czytaniu.

Popełniono tu zwyczajny błąd logiczny. Wyrażenie *figuryczne* „Mąż“ brano za wyrażenie *ściśle*. Nie zastanowiono się nad tem, że jest to personifikacya. Wynika to z treści całego Widzenia. „Mąż“ bowiem (jak przedtem „kochanek“) zjawia się w całem otoczeniu personifikacyi (Gal, Rakus, Borus). „Mężem“ tym jest tedy całe społeczeństwo.

Teraz cała symbolika owego szczególnego ustępu stanie się jasną. Owe „trzy czoła“, „trzy źrenice“, „trzy oblicza“ nie mogą się przecież stosować do zwyczajnego człowieka, który będzie zawsze posiadał tylko jedno czoło, jedno oblicze, jedną parę źrenic. Odnosi się to do społeczeństwa trójludowego. Kto teraz odczyta uważnie cały ustęp, poczynający się od słów „Któż ten mąż“, ten musi się na to zgodzić bezwarunkowo. Daltonizm, który wyrażenie figuryczne wziął za ściśle, poszukiwał śród ludzkich osobników kogoś, do którego ową symbolikę dałoby się nagiąć z większem lub mniejszem powodzeniem. Ale *ta* symbolika może się stosować tylko do osoby *zbiorowej*.

Tak samo rzecz się ma z ustępem „Ha, to dziecię uszło“. Daltonizm opierał się tu w dodatku na kilku słowach prozaicznego wstępu do III-ej części „Dziadów, o których *wiedziano*, że stosują się do Mickiewicza. Przypuszczano tedy, że „Mąż“ i „Dziecię“ oznaczają poprostu Mickiewicza, choć cały tekst Widzenia przez kilkadziesiąt lat skutecznie przeciw temu protestował.

Ale zostawmy tymczasem na boku „Dziecię“ i powróćmy do „Męża.“

Więc jest on osobą zbiorową, jest on personifikacyą narodu.

Skoro przyjmiemy to jako pewnik (a po uważnem odczytaniu tekstu przyjąć musimy), będziemy musieli i to przyjąć jako pewnik, że cały dalszy ustęp aż do końca musi się również stosować do onego „Męża“. W przeciwnym bowiem wypadku wypadałoby twierdzić, że Mickiewicz odbiega od *tematu*. Jest to wprost niemożliwe. Powinniśmy raczej sobie niedowierzać, niż Mickiewiczowi. I uczynimy dobrze, postępując tak. Mickiewicz bowiem nietylko tutaj nie odbiega od tematu, ale *rozwija* go genialnie.

Jeżeli tedy *cały ustęp* stosuje się do „Męża“ jako osoby zbiorowej, to musi bezwarunkowo stosować się także do niego ów końcowy trójwiersz: „Z matki obcej“ itd.

I znowu zamiast łamać sobie głowę nad liczbą 44, pomyślmy trochę nad tem, kogo może oznaczać wyrażenie „Z matki obcej“, wyrażenie użytem w takich okolicznościach. Któż to jest według Mickiewicza Polak z matki obcej? Tylko Litwa.

Mickiewicz nazywał Litwę swoją ojczyzną. Od inwokacyi do niej rozpoczął Pana Tadeusza. Nie jest to przypadkowe, albowiem żądano od niego, by wstęp do Pana Tadeusza zmienił w ten sposób: „Polsko, ojczyzno moja“. Ale Mickiewicz nie chciał. On największe dzieła poświęcił Litwie. W wykładach literatury słowiańskiej myśli wciąż o niej. „Dawne bohatery“ Witenesy, Mendogi, Kiejstuty, stały mu wciąż przed oczami.

Jeżeli tedy „Z matki obcej“ stosuje się do Litwy, to musi się także do niej stosować liczba „czterdzieści cztery.“ To musi być jej *imię*.

Głosimy to *a priori* na podstawie egzegezy tekstu. Wskazuje nam to czysta logika.

Skoro przyjmiemy to jako pewnik, możemy teraz przystąpić do *wyrachowania*.

Ale jak to wyrachować? Jak wyrachować, że czterdzieści cztery jest *imieniem* Litwy?

Musimy tedy uciec się do gematryi, tj. do obliczenia cyfrowej wartości liter słowa Litwa. Metoda ta była stosowana do Apokalipsy i w r. 1837 rozwiązała zagadkę liczby 666 w sposób niezbity.

Uprzytomnijmy sobie, jak wtedy uczeni postąpili.

Apokalipsa została napisana w języku greckim. Ale wykryto, że autorem jej był Żyd. Czytelnik nasz może to łatwo potwierdzić sobie, przejrzawszy choćby ustępy: II, 9, 14; III, 7, 9; V, 5; VII, 4, 5—8; IX, 11; XI, 19; XII, 10; XIV, 1; XV, 3; XVII, 16; XIX, 1—4, 6; XXI, 2. Jest to szczegół bardzo ważny. U Żydów bowiem gematrya jest do dzisiejszego dnia do tego stopnia popularna, że na obchodach uroczystych układa się błogosławieństwa tak, aby stanowiły jakąś liczbę, ważną dla błogosławionego. Skoro tedy przyjęto jako pewnik, że autorem Apokalipsy był Żyd, napisano po *hebrajsku* wyrazy „cesarz Neron,“ tj. NRON KSR i otrzymano: Nyn=50, rejsz=200, wuw=6, nyn=50, kyw=100, samech=60, rejsz=200, ogółem: 666. Przy tej sposobności wyjaśniono prastarą a mylną egzegezę, dającą liczbę 616, gdyż pisano wyraz „Nero“ z końcówką łacińską, a nie „Neron“ z końcówką grecko-hebrajską. Mickiewicz nie mógł znać egzegezy ściślej, gdyż ta powstała, jak już zaznaczyliśmy, dopiero w r. 1837, „Dziady“ zaś (cz. III) zostały napisane pięć lat wcześniej. Ale musiał znać egzegezę nieściślą, dającą liczbę 616, wiedział bowiem, co znaczy wyraz „bestya,“ czego dowodzi pogróżka złego ducha, skierowana do Księdza Piotra w słowach: „A wiesz w Apokalipsie co znaczy bestya?“, oraz inne ustępy, których tu przytaczać nie będziemy. Prócz tego interesował się rachunkiem dorpackiego profesora Gezela, który udawadniał, że imię Napoleona jest liczbą 42 i znaczy Antychryst („Literatura słowiańska,“ wyd. Wrotnowskiego, Poznań, 1865, t. II, s. 285). Siemieński stwierdza, że Mickiewicz lubował się w formułkach kabalistycznych („Religijność i mistyka w życiu i poezyach A. M.,“ Kraków, 1871, str. 103 i 104). Potwierdza to list Alfreda Meissnera (St. Ptaszyński, „Mąż czterdzieści cztery,“ Poznań, 1895). Zresztą było to w duchu czasu.

Mamy tedy metodę. Sięgnijmy do gematryi. Ale Mickiewicz Żydem nie był, więc przecież po hebrajsku liczby 44 nie będziemy pisali. Natomiast jako Polak był Słowianinem, a nawet *sui generis* słowianofilem, tylko że wtedy słowianofile marzyli o zaprowadzeniu królestwa bożego na ziemi. Do jakiego tedy uciekniemy się alfabetu, aby wyrachować, że *imię Litwy* wynosi czterdzieści cztery?

Na podstawie powyższych danych obrachował mi p. Władysław Wołoszyński ów kryptonim gematryczny Litwy w ten sposób. Wziął za podstawę alfabet starosłowiański i oznaczył litery liczbami kolejnemi:

az	1	est	6	kako	11	pokoj	16
buki	2	żiwete	7	ludi	12	rcy	17
wiedi	3	zemla	8	myslete	13	słowo	18
głagoł	4	iże	9	nasz	14	twerdo	19
dobro	5	i	10	on	15		

W takim razie liczba 44 będzie sumą następujących cyfr i liter:

12	—	L	
9	—	I	(iże, i—dwulaskowe)
19	—	T	
3	—	W	
1	—	A	

ogółem: 44 czyli: Litwa.

A więc, jak orzekliśmy *a priori* na podstawie czystej egzegezy tekstu, „Z matki obcej, krew jego dawne bohatery, a imię jego czterdzieści cztery,“ znaczy: Litwa.

I będzie to zgodne także w owym ustępie pierwszym, gdzie występuje zbiorowa osoba „Dziecię.“

Zdajemy sobie dokładnie sprawę z tego, że w języku starosłowiańskim właściwie liczby oznaczano nieco inaczej. I to widzimy, że została opuszczona przestarzała litera „zeło“ (właściwie: dzeło), której dziś niema już ani w serbskim, ani w bułgarskim języku.

Zaznaczamy wreszcie raz jeszcze, i to całkiem dobitnie, że rachunek zostaje potwierdzony przez *tekst*, a nie odwrotnie. Wszelka liczba bowiem może być tłomaczona w różny sposób, czego dowodzi choćby owe słynne: XLN=XLIV, czyli: Książę Ludwik Napoleon.

A teraz bardzo ważna okoliczność.

Nie zwrócono na to uwagi, że cała trzecia część „Dziadów“ nazywa się właściwie „Litwa.“

Przejrzałem wszystkie wydania, dokonane za życia i pod kierunkiem Mickiewicza, a więc wydania następujące: z roku 1832, 1833, 1838 (powtórzenie wydania z r. 1833 ze zmienioną jedynie okładką), wreszcie z r. 1844. To było ostatnie i uznane zostało za najważniejsze. W tych wszystkich wydaniach znajduję wyraz „Litwa“ umieszczony jako *tytuł* „nad“ wyrazem „Prolog.“ Dopiero Eustachy Januszkiewicz i Julian Klaczko, robiąc w r. 1860 nową, notabene bardzo błędną edycyę, samowolnie usunęli wyraz „Litwa“ jako tytuł z *nad* wyrazu „Prolog“ *pod* ten wyraz, pisząc go w jednym wierszu z inscenacyą: „Litwa. — W Wilnie, przy ulicy Ostrobramskiej“ itd. Mniemali niezawodnie, że wyraz „Litwa“ ma służyć do określenia miejscowości, ale nie zastanowili się nad tem, że miejscowość została już dostatecznie określona za pomocą słów: „W Wilnie, przy ulicy Ostrobramskiej“ itd. Ufali widocznie więcej sobie, niż Mickiewiczowi. A tego zawsze trzeba się wystrzegać. Za tymi wydawcami poszli, o ile udało mi się sprawdzić, wszyscy inni, z wyjątkiem Henryka Biegeleisena („Dzieła A. M.,“ Lwów, 1893). Umieścił on wyraz „Litwa“ na miejscu właściwem jako tytuł, gdyż znał wszystkie wydania i na nich się opierał. Prostując liczne błędy edycyi Januszkiewicza i Klaczki, nie zwrócił jednak uwagi na tę ich samowolę, która, jak teraz widzimy, wprost przyczyniła się do zaciemnienia „Dziadów.“ Biegeleisen znalazł dużo wypadków tej samowoli. Mickiewicz bowiem już z wydania petersburskiego (1829) usunął owe „Duo,“ „Arya“ i „Recitativo,“ które tak słusznie nie podobają się Konopnickiej w znakomitej jej rozprawie. Widocznie jednak niepospolita poetka nasza nie sięgnęła do wydań *Mickiewiczowskich*, bo inaczej byłaby uczyniła zarzut nie Mickiewiczowi, ale Januszkiewiczowi i Klaczce („Z roku Mickiewiczowskiego,“ str. 66). Ale intuicya jej nie zawiodła. Mickiewicz to usunął. Pokazuje się jednak, jaką wagę ma wybór egzemplarza, „abyśmy pozwolili rzeczom być tem, czem są“ (str. 91).

Streszczamy się i wygłaszamy cztery następujące tezy:

1) Wyrażenie „Mąż“ jest figuryczne a nie ściśle, oznacza osobę zbiorową a nie jednostkę ludzką. Tą osobą zbiorową jest naród.

2) Wyrażenie „z matki obcej, krew jego dawne bohatery", oraz wyrażenie „Dziecię," oznacza Litwę.

3) Liczba czterdzieści cztery według gematryi oznacza Litwę.

4) Cała trzecia część „Dziadów" ma tytuł: Litwa.

W rozprawce mojej popieram te cztery tezy całym szeregiem argumentów. Sądzę wszelako, że krytyka fachowa, obznajomiona z całą odnośną literaturą, będzie mogła już na podstawie tych danych sprawdzić, że jest to rozwiązanie proste, naturalne a przedewszystkiem zgodno z ścisłą egzegezą tekstu.

Ale ów tekst — to szereg symbolicznych obrazów i określeń. Poetyckiej symboliki niepodobna realizować w każdym wypadku. Poezya to nie algebra. Poeta działa na naszą imaginacyę tajemniczością. Cała potęga, cała wspaniałość Widzenia polega właśnie na tej niesłychanie śmiałej symbolice. Skoro jednak ze stanowiska, jakie wskazałem, poczniemy badać tekst Mickiewiczowski, symbolika stanie się jasną, wyrazną, aluzya — genialną.

Dla mnie tekst jest tak jasny, iż nawet doznaję pewnej obawy, czy aby podaję tu istotnie publiczności i krytyce coś nowego.

Do tych wyników *zbliżało* się dwóch ludzi. Intuicyjny umysł kobiety, Henryki Ankwiczówny, odgadł niemal, kto ów „Mąż", choć wszystko popsuła liczba 44, rozumiana błędnie (Kor. Mick. III, str. 175). Następnie Zygfryd Lipiner w przedmowie do swego przekładu „Dziadów" radzi: „Nur so viel will ich bemerken... dass man schwerlich auf einen gewoehnlichen, buergerlichen Namen raten duerfte... und auch schwerlich auf einen *Einzelnen*."

Nie przytaczam różnych hypotez, gdyż to byłoby zbyteczne. To tylko powiem, że z góry można było twierdzić, iż Mickiewicz nie mógł był mieć *siebie* na myśli. Nie zgadzało się to z jego nadzwyczajną skromnością. Nie zgadza się to przedewszystkiem z tekstem.

Niniejszy autoreferat przedkładam krytyce i publiczności, nim wyjdzie z druku rozprawka. Sądzę bowiem, że to tymczasem wystarczy i da możność badaczom *skontrolowania* moich spostrzeżeń i wywodów.

Andrzej Niemojewski.

BADANIA NAUKOWE.

Badania z dziejów rodziny.

—✦—

Aż trzy nowe książki, zajmujące się początkiem i rozwojem rodziny! [1]) Jak na naszą literaturę socyologiczną, to bardzo dużo, tembardziej, że w tej liczbie znajdują się dwie oryginalne, i że właściwie za czwartą pracę, dotyczącą między innymi tego samego tematu, należy uważać obszerny rozdział p. t. „Rozwój kultury," przez L. Krzywickiego, w tomie V „Poradnika dla samouków."

Przypuszczam, że dwaj inni autorowie nie zdziwią się wcale, jeżeli pierwsze miejsce pod względem wartości przyznam bezwarunkowo — znanym w całej Europie wykładom sztokholmskim prof. Maksyma Kowalewskiego. Kowalewskij jest bowiem w jednej osobie znakomitym prawnikiem, etnologiem i ekonomistą - historykiem, a stąd — mistrzem w stosowaniu metody porównawczej i metody przeżytków, które tak ściśle są ze sobą związane. Za pomocą zręcznego a naturalnego zestawiania świadectw z życia ludów dzikich — między którymi ludy kaukaskie Kowalewskij zbadał osobiście i szczegółowo — dalej narodów starożytności klasycznej i wreszcie — germańskich i słowiańskich, oraz interpretacyi ich umiejętnej, podbijającej swą naturalnością i trafnością, autor, idąc w ślady Bachofena, Morgana i Engelsa, obala nieodwołalnie teorye pierwotności rodziny patryarchalnej w rzymskiem i biblijnem znaczeniu i własności indywidualnej. Książka ta, krótka i dzięki jasności wykładu dla każdego zrozumiała, łączy w sobie (rzecz bardzo rzadka) doniosłość dzieła naukowego z zaletami wykładu popularnego, a jednocześnie — oryginalność myśli z niepospolitą, wszechstronną erudycyą [1]).

Nie chcemy przez to powiedzieć, że wszystko w tej pracy jest bez zarzutu. Wyżej w niej stawiamy części, dotyczące początku i rozwoju własności, niż — pierwotnego okresu rodziny. Autor wybornie wykazuje i uzasadnia dążenie człowieka na najniższych stopniach kultury do przywłaszczania sobie owoców swej pracy i środków zaspokojenia swej potrzeby, lecz zarazem — jego zależność od gromady, która sprawia, że wiele narzędzi, wspólnie wytworzonych i służących do wspólnej pracy (polowania, połowu), stanowi własność wspólną, że nadmiar środków zaspokojenia potrzeb — po nad potrzeby jednostki w danej chwili — również stoi otworem dla wszystkich, i że później ziemia uprawna zostaje własnością rodu. Charakter i rozkład wspólnoty rolnej rodowej, już patryarchalnej, potem — charakter wspólnoty rolnej gminnej, która z rozkładu rodowej powstaje, i z kolei przyczyny wewnętrzne i zewnętrzne jej rozkładu, a w związku z tymi procesami ekonomicznymi — usuwanie się rodu na drugi plan przed rodziną poszczególną i stopniowe uniezależnianie się wzajemne członków tej rodziny, wzrost praw żony i dzieci wobec władzy męża i ojca: te zjawiska, dla współczesnego życia jeszcze nadzwyczaj ciekawe i ważne, bo *stosunkowo* nie tak odległe, przedstawia nam książka Kowalewskiego znakomicie i pouczająco. Nieco gorzej sprawa stoi z *pierwotnemi* formami *rodziny* samej. Tu można Kowalewskiemu zrobić ten sam zarzut, co wogóle całej szkole Morgana: że przedhistoryczne czasy ludzkości, poprzedzające patryarchat pasterski albo rolniczy z zarania dziejów pisanych, traktują, jako coś jednolitego, nie rozróżniając całego mnóstwa różnorodnych form i okresów. Jest to dla nich poprostu okres matryarchatu. Tymczasem faktem jest, że choć wszystkie narody musiały przejść przez okres skupiania się rodziny wokoło matki, to jednak takie powszechne stadyum macierzyste (zwane przez Lipperta „pierwszym matryarchatem") możemy umieścić tylko w najpierwotniejszych, hypotetycznych czasach ludzkości, poprzedzających bezpośrednio nie patryarchat klasyczny, lecz wszystkie znane, obserwowane stany społeczne — nawet najniższych ludów australskich. U tych już bowiem spotykamy władzę mężczyzny nad żoną i dziećmi, a z owego hypotetycznego pra-matryarchatu — tylko przeżytki: rodowód i imiona po matkach, oraz zakazy małżeńskie i nakazy zemsty wzajemnej w obrębie pokrewieństwa po matce. Natomiast w znacznie późniejszych czasach, przeważnie u ludów, przechodzących od myśliwskiego głównie sposobu życia bezpośrednio do rolnictwa, które podnosi znaczenie kobiety, a nieprzechodzących przez pasterstwo, sprzyjające niewzruszonemu umocnieniu się ojcowładztwa, zjawia się drugi matryarchat, połączony zatem z nieporównanie wyższą kulturą, z innym stosunkiem do mężczyzny, z komunizmem rodowo-rolnym. Przeżytki pierwszego matryarchatu znaleźć można u wszystkich narodów; drugiego — u niektórych tylko; te, co przez niego nie przeszły, mają przeżytki matryarchalne wogóle słabe, blade. Przyczyny rozkładu każdego z tych matryarchatów i przejścia do patryarchatu są odmienne: w pierwszym wypadku — wstąpienie mężczyzny w stały stosunek do kobiety i dzieci dzięki wynalazkowi ognia, szałasu i broni myśliwskiej oraz ujarzmienie słabszej fizycznie kobiety; w drugim — głównie rozwój różnic majątkowych między rodami plemienia, który sprawia, że rody bogate i silniejsze nie pozwalają swym mężczyznom przechodzić do rodów żon i zostawiać tam dzieci. Tymczasem Kowalewskij nie rozróżnia dwóch matryarchatów i rozkład matryarchatu traktuje jako jeden proces, uważając za główną jego przyczynę — rozdzielenie się pierwotnej gromady wskutek braku środków do życia, po którem brat opuszcza kobietę, a mąż z nią zostaje. Hypoteza zupełnie niezadawalająca, albowiem nie wiadomo, dlaczego właśnie tak być ma, a nie odwrotnie: równie dobrze mogli bracia pozostawać z siostrami z jednej matki, boć nowe gromady, powstające z podziału pierwotnej, musiały zachowywać z sobą stosunki peryodyczne, które dawały możność zawierania czasowych stosunków małżeńskich. Przykłady podziału gromad, przytoczone przez Kowalewskiego (w r. III), wzięte są z życia ludów, już posiadających patryarchat (np. Abraham i Lot). Istotnie, pierwszy stały łącznik między mężem i żoną wynikł nie z podziału hordy, lecz z wyżej wspomnianych wynalazków ekonomicznych; a władza mężczyzny w tym stosunku powstała z jego wyższości ekonomicznej i fizycznej jako myśliwego. Jeśli zaś idzie o czerwonoskórych (myśliwych i *rolników!*), to u nich przecież mąż zastępował brata przy kobiecie i dzieciach nie wskutek podziału plemienia, które było dość liczne, a jednak żyło wspólnie, lecz (jak to wywodzi już Morgan) pod wpływem różnic majątkowych i ustalającej się własności prywatnej.

Z powyższej krytyki oczywiście nie wynika, żeby ktokolwiek, piszący dziś [1]) o dziejach rodziny, miał najmniejsze prawo — nie znać Kowalewskiego i nie liczyć się z nim! Byłoby to dowodem wielkiej lekkomyślności! Tymczasem na to właśnie pozwolił sobie p. Witold Schreiber. Zna on Krafft-Ebinga i korzysta z niego: a mówię o tem, ponieważ aż zbyt często usiłuje on tłomaczyć różne ważne fakty z dziejów rodziny za pomocą jakichś spaczonych popędów płciowych u dzikich; ale nie zna Kowalewskiego, mistrza metody porównawczej i przeżytków, nie zna Grossego i Cunowa, którzy, zdaje się, najlepiej usystematyzowali zjawiska dziejów rodziny w związku z podstawowemi zawsze zjawiskami gospodarstwa, troski o byt! To też książce p.

[1]) M. Kowalewski: „Zarys początków i rozwoju rodziny i własności." Przekł. z fr.. M. Gomólińskiej. Warszawa, Księg. Naukowa, 1903. — Jan Kucharzewski: „Początki prawa małżeńskiego." Z zapomogi kasy im. Mianowskiego. Warsz., E. Wende i Sp., 1901. — Witold Schreiber: „Małżeństwo i jego dzieje." Lwów i Warszawa, E. Wende i Sp., 1903.

[1]) Tłomaczenie jest staranne i dobre. Conajwyżej zauważylibyśmy co następuje: 1) „Aulu-Gelle" — jest to francuska zepsuta forma imienia pisarza rzymskiego: Aulus Gellius (str. 100); 2) Prawodawstwo cesarskie na str. 149 ma oczywiście oznaczać t zw. Kaiserrecht; powinnoby zatem koniecznie być w cudzysłowie i poprzedzone „t. zw," gdyż nie było to w rzeczywistości prawodawstwo cesarza, tylko zbiór praw zwyczajowych, przez lud za prawo cesarskie uważany; 3) Kotoszychin emigrował z Rosyi do Szwecyi, nie do Szwajcaryi (str. 179). — Wreszcie: 4) wydaje mi się niestosownem robienie przez tłomaczkę — bez podania dowodów — takich uwag, jak (na str. 35), że wbrew autorowi „badania nowsze oddalyby słuszność Starckemu!"

[1]) Książka Kowalewskiego wyszła po franc. w roku 1890.

Schreibera musimy przyznać, niestety, najmniejszą z trzech wymienionych wartość. Nie odmawiamy autorowi dość rozległego oczytania, lecz to oczytanie widocznie jest dorywcze, i stąd— pełne ważnych braków; sposób wykładu niesystematyczny, pozbawiony głębszego planu i celu; trafiają się nieporozumienia [1]), wreszcie hypotezy, stawiane przez autora dla wytłomaczenia zjawisk, są dziwaczne i dowolne. Kruszy on kopię na wielu stronicach przeciw hypotezie pierwotnego bezładu płciowego, krytykując wiarogodność autorów starożytnych, przypisujących go różnym plemionom; ale dziś przecie nikt już absolutnie żadnemu z istniejących ludów bezładu płciowego nie przypisuje; nawet Morgan umieszczał tę formę rodziny na *hypotetycznym* „pierwszym stopniu dzikości,“ kiedy ludzie nie znali jeszcze żadnych narzędzi ani ognia i mieszkali przeważnie na drzewach. Jeśli zaś idzie o ten najpierwotniejszy, nigdzie już nieobserwowany stan ludzkości, to trudno nie przypuścić braku ograniczeń małżeńskich, czyli czysto negatywnego bezładu płciowego. Pan Schreiber co do tego najpierwotniejszego stanu raz zgadza się na hypotezę Lipperta (str. 21) naturalnego grupowania się dzieci koło matek, drugi raz — stawia własną, na niczem nieopartą, że jeden mężczyzna żył w otoczeniu kilku kobiet, opiekując się niemi i dziećmi przynajmniej przez czas pewien (str. 91). Jeśli może podług autora ten drugi stan miał nastąpić dopiero po pierwszym, to niewiadomo absolutnie i nie można sobie wyobrazić, jakim sposobem z pierwszego mógł wyniknąć drugi. Zresztą później, kiedy te pierwotne małżeństwa rozrodziły się w gromady, p. Schr. sam staje nad przepaścią hypotezy bezładu płciowego i unika jej tylko w ten sposób, że przypisuje brutalnej zazdrości (!) dzikiego moc rozbijania gromady na pojedyncze stadła (str. 102)... Dziwnym fejletonowym stylem [2]) podnosi wielożeństwo (w znaczeniu posiadania wielu kobiet przez pojedynczych mężczyzn, nie prawa wielu mężczyzn do wielu kobiet) do godności przyrodzonego i powszechnego prawa ludzkości, a opiera to twierdzenie na takich faktach, które świadczą, że niektórzy mężczyźni — bogacze i możni — trzymają po kilka lub kilkaset kobiet... Aby wyprowadzić wielomęztwo, to wyjątkowe zjawisko, potrzebne mu jednak do hypotezy o egzogamii, z braku kobiet, przyjmuje całkiem metafizyczną hypotezę Düsinga, popartą wprost śmiesznemi obliczeniami z życia... Saksonii w XIX w!, jakoby sama „natura“ w trudniejszych warunkach życia wydawała na świat mniej dziewcząt, aby zmniejszyć wzrost ludności!—itp. Jednem słowem niewiadomo, dla kogo książka jest pisana: dla ogółu— zbyt chaotyczna [3]), a badacz— musi często wzruszać nad nią ramionami.

O wiele wyżej stawiamy rozprawę p. J. Kucharzewskiego [4]). Jest to praca nie dyletanta, lecz uczonego, lub przynajmniej— człowieka nauki. Uczonego młodego, niezbyt jeszcze samodzielnego, który jednak sumiennie i systematycznie poznał literaturę, dotyczącą kwestyi i umiejętnie ją ugrupował. W każdym uniwersytecie niemieckim byłaby to dobra rozprawa doktoryzacyjna. Z tego charakteru wypływają jej zalety i wady. Każdy, ktoby chciał zapoznać się z obecnym stanem kwestyi, zoryentować się, co do punktów ustalonych i punktów spornych, i w ten sposób przygotować się do dalszych studyów, może z pożytkiem przeczytać tę książkę: to wielka zaleta, która powinna zapewnić jej poczytność obok książki Kowalewskiego, a nawet obok „Poradnika dla samouków,“ jako ich dopełnieniu pod pewnymi względami. Natomiast brak p. Kucharzewskiemu jeszcze śmiałości czy chęci stawania po czyjejś stronie, rozstrzygania zagadnień spornych w ten lub inny sposób; zwykle poprzestaje on na przytoczeniu argumentów stron walczących. To też niebardzo rozumiem, dlaczego rozdział III jest zatytułowany: „*Przyczynek* do kwestyi o prawie macierzystem i prawie ojcowskiem,“ gdyż i tam nic oryginalnego nie znajdujemy. W każdym razie na przyszłość wolno się po p. K. spodziewać niejednego wartościowego przyczynku do rozwiązania tych trudnych kwestyj, które tak dobrze poznał.

Sądzę jednak, że w tym celu pożyteczniejby było, żeby przestał ulegać wpływom reakcyi przeciw kierunkowi Bachofena-Morgana-Engelsa-Kowalewskiego. Mówię wyraźnie: kierunkowi, boć przecie nikomu się nie śni przeczyć, że wiele pomysłów Bachofena np. jest dziś przestarzałych. Ale z tego nie wynika bynajmniej, żeby Starcke, Wertermarck i ich zwolennicy mieli racyę. Przestarzałe jest pojmowanie całej przeszłości, poprzedzającej powstanie własności indywidualnej na modłę greko-rzymską, jako okresu komunizmu „pierwotnego“ (do str. 40); ale nawskróś żywotne — szukanie w niej szeregu form komunistycznych, z których stopniowo wyłaniają się indywidualistyczne. Przestarzałe jest, jakeśmy już wspomnieli, bezwarunkowe i bezpośrednie umieszczanie matryarchatu albo tembardziej „heteryzmu“ przed rodziną monogamiczną, patryarchalną; ale z tego nie wynika, żeby dla takich zjawisk, jak np. różne obrzędy weselne, sprowadzające się do *jus primae noctis*, szukać tłomaczenia w jakiemś z nieba spadłem pojęciu gościnności u dzikiego. Zapewne, p. Kucharzewski nie dochodzi na tej drodze do takich, wprost powiem, szalonych pomysłów, jak p. Schreiber [1]); ale i jego stanowisko względem tych zagadnień (str. 41—43) nie da się obronić. Można jeszcze próbować prostytucyę świętą tłomaczyć kultem fallickim, choć wtedy powstaje zaraz pytanie, skąd się kult ten wziął, i myśl, że przecie formy religijne są zwykle wtórne, zaszczepiają się na gotowych już zjawiskach etycznych; lecz nie da się to wcale zastosować do charakterystycznych obrzędów weselnych; jeśli zaś obrzędy te tłomaczy się za pomocą analogii z obdarzaniem gości przez gospodarza, to analogia kuleje, bo przecie trzeba pamiętać, że tu kobieta bynajmniej nie jest jeszcze żoną - własnością jednego mężczyzny, że właśnie *zanim* nią zostanie, inni mają do niej prawo. A oto właśnie w całkiem ostatnich czasach dr. William J. Thomas, prof. uniw. w Chicago [1]), wywodzi to prawo na zasadzie praktyk najniższych plemion — australskich (jak ceremonie „wilpadrina,“ „atna-ariltha-kuma“ itp.), polegających na tem, że mężczyźni starsi, przed oddaniem jednej z dziewczyn, dobijającemu się o nią młodzieńcowi lub człowiekowi z innego rodu, wykonywali na niej swe prawa. Sprawdza się więc na innej nieco drodze— jak zaznacza Thomas — myśl Lubbocka— i Bachofena — że te zwyczaje są okupem starych praw ogółu mężczyzn!

Również co do słynnej „kuwady,“ zarówno p. Kucharzewski, jak p. Schrejber, a nawet Krzywicki [2]), objawiają skłonność do tłomaczenia jej jakąś neurastenią mężów, którzy cierpią przez sympatyę dla ciężarnych i rodzących żon! Lecz jakże można podobne sporadyczne zboczenia uogólniać na całe plemiona, czynić z nich źródło *obowiązującego* wszystkich zwyczaju? Zwyczaj taki mógł powstać jedynie jako symbol dokonywającego się zwycięztwa praw ojca do dziecka nad prawami matki; w przeciwnym razie, jakże wytłomaczyć nieobecność tego zwyczaju u ludów, rządzących się prawem macierzystem? Przecie tam mężowie także mogą być nerwowi — chyba nawet tembardziej...

Widzę w tem objaw reakcyi przeciw tłomaczeniu zjawisk rodzinnych przez ekonomiczne i wogóle społeczne, oraz towarzyszącej jej mody tłomaczeń bio- lub fizyologicznych. P. Kucharzewski nie darzy też zbytnią sympatyą pisarzy, którzy najbardziej usystematyzowali związki zjawisk rodzinnych z gospodarczemi i tem poważnie się przyczynili do oczekiwanej przez niego syntezy prawa pierwotnego; jego krytyka Grossego i Cunowa (str. 135—8) jest zupełnie nieuzasadniona. Nie zapomnieli oni bowiem wcale o czasach, w których człowiek właściwie nie polował jeszcze, lecz zbierał owoce, korzenie, owady itp.; ani też nie ustanowili jakiejś niezmiennej hierarchii ściśle wyodrębnionych okresów myśliwstwa, pasterstwa, rolnictwa [3]).

Pod jednym względem ma p. Kucharzewski słuszność:—syntetycy ci nie wytłomaczyli jeszcze, a nawet nie chcieli tłomaczyć samego powstania pierwszych odrębnych grup wśród hordy pierwotnej. Jeśli podział pracy między mężczyznami i kobietami jest wyjaśniony, jeśli podział na generacye zaczyna być rozumiany, to początek grup egzogamicznych pozostaje, a nawet, podług wielu, pozostać musi tajemnicą. Na tę tajemnicę pierwszorzędnej wagi spróbujemy jednak rzucić pewne światło w osobnym artykule, w którym zatem będziemy musieli mówić jeszcze i o zdaniu p. Kucharzewskiego i o pomysłach p. Schreibera co do tego punktu. Lecz to przekracza już ramy niniejszej recenzyi.

Dr. K. Krauz.

---

[1]) Tylko na nieporozumieniu np. może się opierać twierdzenie, że u Arabów prawo wkładało moralny obowiązek na syna – ożenić się ze swoją matką, jeżeli ta pozostała bez zaopatrzenia po śmierci męża (str. 11 ! Może tu być mowa jedynie o tem, że u ludów pasterskich, silnie patryarchalnych, matka po śmierci ojca przechodzi *pod władzę* syna najstarszego wraz ze wszystkiemi kobietami-domownicami.

[2]) „Pierwotny człowiek... nie poprzestawał na jednej kobiecie, ale uprowadzał kilka i w tem rozkosznem towarzystwie, na łonie niezgwałconej jeszcze ręką ludzką przyrody, spłacał dług fizyologicznej konieczności“ (str. 78).

[3]) W dodatku polszczyzna straszliwa: musi być *coś na rzeczy* (zamiast: w tem coś być musi, str. 88), *dokaże* (zam. dowiedzie, str. 89), życie *w jednostkę* (str. 105), *nowiedzione* uwagi (str. 121), *naprowadzone* przykłady (passim), zamiast przytoczone, itp.

[4]) Pod względem językowym szpeci ją jedynie użycie nieprzyjętych obcych słów: prekaryjny (str. 34) i maternitet (str. 112), zam. nietrwały i macierzyństwo; no, i raz *na* praktyce! (str. 71). Oprócz tego zakwestyonowałbym nazywanie rodziny „Punalna,“ po polsku *swoistą* również (u Krzywickiego). Powinno być chyba *swojacka*; bo swoisty znaczy sui generis.

[1]) Str. 25—30. Nie mogę ich doprawdy szczegółowo rozstrząsać w piśmie niespecyalnem. Dość wspomnieć, że autor przedmiotem gościnnego przyjęcia i środkiem uczczenia gości czyni to, co ma być nieprzyjemne dla gospodarza: albo też powołuje się na tak widocznie już pod wpływem wyobrażeń chrześciańskich powstałe wyrażenie dalmackie: „po griechu roditieli“ itd.

[1]) „Der Ursprung der Exogamie,“ art. we wrocławskiem *Zeitschrift für Sozialwissenschaft* prof. J. Wolfa, 1902. nr. 1.

[2]) *Poradnik dla samouków*, t. V, cz. I, str. 451.

[3]) Grosse się specyalnie przeciw temu zastrzega w swej cennej książce pt. „Die Formen der Familie und die Formen der Wirthschaft“, 1896; ob. r. III i in.

LITERATURA I SZTUKA.

Literatura niemiecka.

Śladami „mistrza."

Maks Nordau nie może się skarżyć na brak posłuchu u swych ziomków. Publicystykę niemiecką obiegają hordy pismaków, przysięgających *in verba magistri*, że literatura współczesna, to zakała ewolucyi kulturalnej, że twórcy nowocześni to „anarchiści ducha", a skutkiem ich działania jest niewątpliwy „rozkład w życiu i literaturze", że *omnipotens philistera* stanowczo powinna każdego artystę nowoczesnego „mit Sack und Pack" wpakować do szpitala waryatów, jeśli się chce ostać przed niszczącą działalnością młodych.

Świeżo dwaj publicyści zabrali się do otworzenia oczu burżuazyi niemieckiej na niebezpieczeństwo, grożące jej wskutek rozwielmożnienia się twórczości współczesnej. Atak miał być wprost zabójczy. W perzynę postanowiono obrócić wszystko, co ostatnie pokolenie artystyczne wniosło do literatury. Książka Hermanna Hölzkego *) o „Pierwiastku brzydoty we współcz. literaturze niemieckiej," zgruchotać miała gmach powieściowy — szkice Pawła Goldmanna **) o „Nowym kierunku" usunąć w mroki dramat modernistyczny. Najsilniejszego kalibru armaty wytoczono przeciw biednym ofiarom furoris Nordauae, zapowiedziano krucyatę powszechną. Od Gerharda Hauptmanna po Maksa Dreyera, Artura Schnitzlera, od Ottona Eryka Hartlebena po Klarę Viebig — wszystko postanowiono uśmiercić.

Wobec tego nasuwa się pytanie: czy w istocie „nowe kierunki" w literaturze niemieckiej tak są niebezpieczne dla zdrowego społeczeństwa, czy w istocie należy modernizm usunąć z dorobku kulturalnego, zanim zło przezeń spowodowane zatamuje bieg ewolucyi człowieka ku doskonałości?

Nie ulega wątpliwości: wytwórczość artystyczna Niemiec stale od pewnego czasu lot swój obniża. Z wysokości dytyrambu Zarathustry stacza się na niże... Napięcie psychiczne, wyrażające się choćby w „Hanusi" Hauptmanna, teoretycznych strukturach i majaczeniach wynalazczych Jana Schlafa i Arno Holza, panteizmie Alfreda Momberta, seksualizmie Ryszarda Dehmla — napięcie to rozluźniło się z biegiem czasu, przeistoczyło w trywialny weryzm lub pikantną piosenkę nadscenki. Kiedy przed laty z centrów literatury padały iskry, zadziwiające śmiałością i oryginalnością swego lotu, kiedy dreszcz zachwytu i bałwochwalcze uwielbienie witały każdy z wschodzących „meteorów," wówczas zdawało się, że istotnie zanosi się na powstanie epoki twórczej, odrębnej a szczytnej. Lecz wkrótce obniżył się ton, opadła atmosfera. Gerhard Hauptmann ogłosił szereg utworów dramatycznych, niewykraczających poza przeciętną miarę, Holz i Schlaf przychodzili do przeświadczenia, iż nowatorstwa ich teoretyczne pozbawione są zgoła praktycznej podstawy, Mombert i Dehmel zasklepili się w swem jednostronnem pojmowaniu przejawów życiowych, przestając zarazem znajdować oddźwięk w duszach. Równocześnie rozpoczął się dziki taniec naśladowców i poetków *minorum gentium* dokoła gotowych już wzorów, dostarczonych przez koryfeuszów modernizmu niemieckiego. Puścizna okazała się bogatą, można więc było w czem wybierać. I powstały stosy powieści, dramatów, wierszy lirycznych, skompilowanych z elementów, których siła i żywotność raz już przejawiona, obecnie w wydaniu kieszonkowem wrażenia zrobić nie mogła. Najjaskrawiej przejawiło się w centralnym organie mordernizmu niemieckiego „Insel." Wystrzeliwszy dumnie jakoby wyspa Piękna na morzu. *Familienblatt* — literatury, spuścił ten organ z biegiem czasu z tonu, tężyznę zastąpił pstrokacizną, nicowanym *ad usum* współczesności barokiem. Skończył nietyle dla braku funduszów, ile raczej współpracowników mających i mogących coś wartościowego powiedzieć. Powoli tracił modernizm w Niemczech swe samorodne, orginalne pierwiastki — wkraczał w stadyum epigonizmu.

Hölzke i Goldmann, głosząc reakcyę przeciw młodym, obrali więc chwilę nadzwyczaj sposobną. A jednak przesądzili. Zamiast z dorobku artystycznego wyodrębnić zło, osamotnić je i tem samem skazać na zagładę, zamiast czynnikom dodatnim należne wskazać miejsce, pomieszali wszystko razem, stwarzając galimatyas, w którym nie sposób rozeznać, co właściwie dobre, a co złe.

Różnemi drogami szli do celu. Różną bo też jest ich indywidualność i instynkty krytyczne. Hölzke zamierzył się na powieść niemiecką niekształtnym drągiem, Goldman śmignął dramat współczesny cienką, delikatną klingą damasceńską. Hölzke brutalnie, po chłopsku, Goldmann — przesubtelnie, ironizując.

Jakież są argumenty, których obaj prokuratorowie modernizmu niemieckiego używają.

Bez osłonek wypowiada je Hölzke: literaturę „młodych" potępić należy, gdyż ideał Piękna zastąpiła brzydota. „Das Hässliche ist nur erlaubt als Ingredienz zur Herforrufung gemischter Empfindungen, wie des Humors, der durch den Sieg des Schönen, Grossen, Guten über das Hässliche herbeigefügt wird." Jeżeli jednak — konkluduje Hölzke — brzydocie przyznamy stanowisko naczelne, samodzielne znaczenie estetyczne, a przytem Piękno poniżymy do stanowiska pośledniejszego, lub je całkowicie pominiemy, wówczas powstać musi niesmak, a dzieło takie wykluczyć należy stanowczo z dziedziny sztuki.

Zachowując definicyę i podział Rosenkranza (wyrażony w dziele p. t. „Aesthetik des Hässlichen") rozważa Hölzke powieść niemiecką z pięciorakiego punktu widzenia. Powieść ta — twierdzi — jest brzydką z tej przyczyny, że głównemi jej cechami charakterystycznemi są: 1) małostkowość, 2) powszedniość wrażeń, 3) opisywanie słabych stron charakteru ludzkiego, 4) przejawianie instynktów dzikich, 5) pstrokacizna w formie i treści.

Istnienie każdej z tych cech stara się Hölzke udowodnić w ten sposób, że cytuje setki powieści i nowel, w których rzekomo znajdować się mają te okropności. Co kilka kartek przybiera ton kaznodziejski i w imię Dobra, Piękna itd. nawołuje do porzucenia „przebrzydłych płodów szatańskich, a nawrócenia się do tych miłych, słodkich a poczciwych romansów aus seliger, guter Zeit... W umyśle naszego krytyka stają wówczas obrazy błogosławionych dni, kiedy to Spielhageny, Ryszardy Vossy, Gustawy Freitagi ogłaszali swe wielotomowe publikacye na chwałę geniusza germańskiego i pożytek filistra, kiedy to żadne niedomówienia i tajemniczości nie maciły spokoju ducha, żadne psychizmy nie przeszkadzały trawieniu, żaden poeta nie ważył się sięgać po za granice, dostrzegalne okiem zwykłego, Bogu ducha winnego śmiertelnika. Ach, to były czasy szczęśliwe. Hölzke stanowczo zapóźno na świat przyszedł. Gdyby żył kilkadziesiąt lat temu, nie dożyłby takiej „zakały", jak Gerhard Hauptmann, Piotr Altenberg, Stefan George — rozkoszowałby się Wilbrandtem, Heysem i nie popełniłby książki o spółczesnej powieści.

W porównaniu z brutalnym, nieznającym granic ni miary Hölzkem, jest Goldman causerem salonowym. Pióro ma świetne. Spokojnie, bez błyskotliwych, paradoksalnych rzutów, opisuje treść omawianego utworu. Pozornie tylko treść. Czytelnik mniej obeznany z tajemnicami „polityki literackiej," nie dostrzeże nawet, ile materyału wybuchowego kryje się pod takiem, spokojnie i szeroko rozprowadzonem streszczeniem. Krytyczne uwagi Goldmanna czytać i rozumieć mogą tylko „wtajemniczeni." Dla nich dopiero otwiera się widok na miny, któremi okopano dany utwór — miny, grożące co chwila wysadzeniem go w powietrze. Pod tym względem jest Paweł Goldmann w krytyce niemieckiej jedynym w swoim rodzaju.

Lecz jeżeli pominiemy formę i kunszt subtelnego ironizowania, a przejdziemy do tendencyi i właściwych pobudek działalności Goldmanna, łatwo wynajdziemy podobieństwo jego z Hölzkem. Jest to ta sama żądza niszczenia powstających gmachów, rzekomo przesłaniających widok na stare. Skutkiem tego występuje najniebezpieczniejsza choroba krytyki literackiej: zaślepienie, lub też daltonizm, polegający na zupełnem zobojętnieniu na pewne barwy, rozsnuwające się na palecie danego twórcy, a dostrzeganiu innych, i to koniecznie ujemnych. Weźmy np. Hauptmanna. Goldmann go wprost nienawidzi. Wszelkie zło, przenikające współczesny dramat niemiecki, z niego wywodzi. Uważa go za zawalidrogę, którego koniecznie usunąć potrzeba. Jest to typowy przykład zacietrzewienia, wyradzającego się w nienawistne ujadanie i utratę poczucia sprawiedliwości w krytyce.

Obaj powyżej przedstawieni krytycy literaccy, choć odmienni co do sposobu przejawiania swych myśli, należą przecież do jednej i tej samej rodziny, której *magnus parens* pod dewizą „zwyrodnienia," „Rozkładu" i „Anarchii" wypowiedział wojnę sztuce ostatniego pokolenia. Szermierze ci o jednem tylko zapominają: że literatura współczesna więcej ma w sobie żywotności, aby ją najrozmaitsi Hölzkowie czy tam Choinscy ot, tak sobie uśmiercić zdołali.

Bertold Merwin.

*) *Das Hössliche in der modernen deutschen Litteratur* — von Hermann Hölzke. Leipzig, 1903.

**) *Die neue Richtung* — von Paul Goldmann Wien, 1903.

SPRAWY EKONOMICZNE

ROZWÓJ DAWNYCH CYWILIZACYJ w krajach bezdeszczowych.

Znany jest powszechnie fakt niezmiernie ciekawy, że większość dawnych cywilizacyj rozwinęła się tam właśnie, gdzie przyroda nakładała na rolnika ciężki obowiązek sztucznego nawadniania gleby. Pominąwszy Egipt, który zawdzięcza swą żyzność peryodycznym wylewom Nilu, znajdujemy oazy libijskie i w pustyni Sahary, których przysłowiowa wysoka urodzajność przetrwała od najdawniejszych czasów aż do dni dzisiejszych. Podobnie w Europie południowej i w Afryce północnej widzimy, że nie lesiste i wilgotne kraje wytwarzały środowiska cywilizacyi, lecz pozbawione deszczów a dające się nawadniać okolice, jako to: „vegi" (urodzajne doliny) Walencyi, Alikante, Granady, Malagi, wyspy grecko - syryjskiego Ar-

chipelagu i położona na przeciwległym brzegu jeszcze suchsza kraina, wśród której królowała Kartagina. To samo zjawisko znajdziemy i w innych częściach świata, choć nigdzie w tym stopniu, co w Azyi, uważanej za kolebkę rodzaju ludzkiego. Suchy pas, wymagający dla użyznienia nawodnień, rozciąga się od Egiptu i Arabii do Palestyny, Syryi i Persyi, po przez ogniska cywilizacyi indyjskiej — Sindh, Pendżab, Radżputana i północno-zachodnie Indye — aż do Gangesu, obejmując tak dobrze znane ogniska, jak Lahore, Delhi, Meerut, Agra itd., zamieszkane przez dzielniejsze i bardziej postępowe rasy, niż te, które zaludniają produkcyjniejsze i wilgotne części półwyspu Indyjskiego. Na całej tej przestrzeni nawodnienie jest niezbędne dla otrzymania plonu, w przeciwnym bowiem razie mamy nieuniknione głody peryodyczne. Tysiące lat temu włożono miliony w irygacyę, to samo robi się i dzisiaj, gdy tymczasem całe wielkie przestrzenie w lesistych okolicach są zamieszkane przeważnie przez dzikie zwierzęta. W Azyi środkowej, zarówno jak w Azyi Mniejszej, tam, gdzie dziś włóczą się tylko gromady pasterskich koczowników, spotykamy ruiny miast dawniej historycznych. W chanatach południowego Turkiestanu mamy toż samo potwierdzenie na korzyść okolic bezdeszczowych. W Nowym Świecie nie działo się inaczej. Cywilizacya Inkasów rozwinęła się nie w wilgotnej, niesłychanie żyznej i lesistej okolicy rzek Orinoko i Amazonki, lecz na suchych, zachodnich stokach Andów. Tak samo Aztekowie w Meksyku przełożyli środkowy płaskowyż nad urodzajny *tierra caliente*. Ku północy nawet mieszkańcy wysoko położonych, suchych płaszczyzn Aryzony i Nowego Meksyku stali wyżej w rozwoju kulturalnym od swych w lasach mieszkających sąsiadów rasy Algonquińskiej; od niepamiętnych czasów uprawiali oni ziemię przy pomocy nawadniania, utrzymując stosunkowo gęste zaludnienie na bardzo nieznacznej przestrzeni.

Ponieważ kopanie rowów irygacyjnych nie było mniejszą pracą od trzebienia lasów, przeto należy przypuszczać, że istniała jakaś inna przyczyna tego uporczywie powtarzającego się zjawiska.

I tak też jest istotnie.

Że suche gleby są żyzniejsze od wilgotnych, można przypuszczać *a priori*, gdy się rozważy formacye gleby w okolicach wilgotnych a suchych; przez suche rozumie się nietylko te, które nie mają wcale deszczu, lecz i te, które posiadają lata bezdeszczowe.

Gleba wytwarza się wskutek fizycznego i chemicznego rozkładu (wietrzenia) skał, a proces ten trwa nieprzerwanie w powstałej już nawet glebie. Następstwem tego procesu jest pewien stosunek mieszanin rozpuszczalnych w wodzie, głównie sodu i potasu, wapna i magnezyi. Gdziekolwiek deszcz obfity spada mniej lub więcej regularnie w ciągu roku, tam te w wodzie rozpuszczalne mieszaniny zostają wyługowane z gruntu, skąd za pomocą strumieni i rzek dostają się do morza. Gdzie deszcze nie są obfite, tam wyługowanie odbywa się tylko częściowo, albo nie odbywa się wcale; to też można częstokroć zauważyć, że podczas bezdeszczowego lata sole potasu, sodu i magnezyi wykwitają na powierzchni ziemi wskutek parowania i wilgoci, czasami w takich ilościach, że nawet wstrzymują wegetacyę zwyczajną, dopuszczając jedynie do rozwoju roślin „solnych.“ Te gleby „alkaliczne“ stanowią krańcowe przeciwieństwo do mocno wyługowanych, zwyczajnie „czerwonych“ gleb tropikalnych, znanych pod nazwą ziem laterytowych, czyli glinkowych; są one bardzo ubogie w pożywienie dla roślin.

Tyle właśnie można wnioskować *a priori*. Ale badania wykazały, iż taki stan sprawy istnieje w rzeczywistości, a wyniki poszukiwań w tym kierunku prowadzonych dadzą się streścić w następujący sposób:

Wszystkie ziemie suche są wapienne, z niewielu wyjątkami, powstałymi wskutek braku wapnia w skale, z której rozpadu utworzyła się gleba, to znaczy, że zawierają o tyle dostateczną ilość wapna (węglanu), aby posiadać wszystkie zalety, które w okolicach wilgotnych otrzymuje się na drodze kosztownego procesu nawapniania, czyli marglowania. Średnio biorąc procent wapna gleb suchych w Stanach Zjednoczonych przewyższa znacznie, dwunastolub czternastokrotnie, procent gleb wilgotnych (gdzie nie istnieją dolne formacye wapienne).

Wszystkie ziemie okolic suchych zawierają wielkie masy potasu w postaciach, dających się łatwo asymilować przez rośliny; i to niezależnie od faktycznie rozpuszczalnych w wodzie soli potasowych, zawsze obecnych w solach „alkalicznych,“ nieraz aż do wysokości dwudziestu procentów tych ostatnich. W ten sposób potrzeba użyzniania potasem zostaje przy zwyczajnej kulturze odsunięta niemal w nieskończoność.

Azotany, których wyługowanie jest źródłem nieustannych i ciężkich strat na żyzności gleby w okolicach, gdzie panują deszcze letnie, nagromadzają się w glebach okolic suchych do tego stopnia, że stanowią więcej nieraz, niż czterdzieści procent soli rozpuszczalnych w ilości 1,200 funtów na akr. Nawet sole amoniakalne znajdują się często w wielkich ilościach. Próchnica, ten skład zapasów azotowych każdej gleby, znajduje się zazwyczaj w ziemiach suchych w niewielkiej ilości, ale zato, średnio biorąc, jest trzy razy bogatsza w azot, niż próchnica gleb wilgotnych.

Fosfor, czwarty ze składników pokarmu roślinnego, znajdujący się zazwyczaj w nawozach sztucznych, nie jest obfitszy w glebach suchych, niżeli w wilgotnych, ponieważ nie podlega wyługowaniu. Ale w gruntach alkalicznych spotykamy częstokroć w znacznych ilościach rozpuszczalne w wodzie fosfaty, gotowe do wsiąknięcia w korzenie roślin.

Stąd wynika, że często wyciąg wody gleb suchych jest właśnie tego samego składu, co roztwory odżywcze, otrzymywane drogą doświadczalną i nie potrzeba chyba mówić, że takie grunty wynagradzają za swą uprawę niezwykłym plonem, zwłaszcza gdy usuniemy kilka soli sody, wyżej wspomnianych, lub zobojętnimy je przy pomocy innych środków. Do najlepszych w tym celu należy zneutralizowanie sody za pomocą gipsu, który zmienia go na stosunkowo nieszkodliwą sól glauberską, a równocześnie zachowuje poprzednio rozpuszczoną próchnicę i fosfaty. Zwyczajnej soli nie można, niestety, pozbyć się inaczej, jak za pomocą drenów, które też usuwają pewną ilość rozpuszczalnego w wodzie pokarmu roślinnego, soli potasowych, azotanów i fosfatów.

Nie ulega zatem żadnej wątpliwości, że suche okolice dają rolnikowi nietylko niezwykłą, ale wskutek nagromadzenia w glebie pokarmu roślinnego i trwałą produkcyjność jako wynik systemu irygacyjnego. Korzyść nie kończy się na tem jednak; jedną z osobliwości wietrzenia skał w okolicach bezdeszczowych jest tworzenie się bardzo niewielkiej ilości rzetelnej, plastycznej gliny; wskutek tego gleba jest nawskróś piaszczysta, a z powodu niedostatecznych opadów atmosferycznych, różnica pomiędzy ziemią uprawną na powierzchni a warstwą jej spodnią, czasami aż do głębokości dziesięciu lub więcej stóp, jest praktycznie bardzo mała lub nawet żadna. Stąd powietrze, równie dobrze jak woda, może przenikać do tych głębokości, gdyż nie powstrzymują go warstwy gęste, nieprzepuszczalne; z wodą i powietrzem przenikają też zazwyczaj i korzenie roślinne do tych samych a nawet jeszcze większych głębokości, gdzie mogą szukać dla siebie pożywienia. To znaczy, iż zamiast dwóch lub trzech stóp, rośliny mają do swego rozporządzenia trzy do pięciu razy tak wielką ilość ziemi.

Nie można wątpić, że ludy starożytne zapoznały się z temi korzyściami drogą doświadczalną, i unikały znojnego trudu uprawiania stosunkowo nieurodzajnych, lub co najmniej łatwo wyczerpujących się gruntów okolic lesistych, gdzie w dodatku nieprzyjaciel krył się za każdem drzewem. Równie jest rzeczą jasną, że ponieważ zakładanie i utrzymywanie kanałów irygacyjnych wymaga spółdziałania, czyli wysokiego już stopnia organizacyi społecznej przeto, warunki życia w okolicach bezdeszczowych sprzyjały wyjątkowo powstawaniu wysoko uorganizowanych gmin, których ślady odkrywamy obecnie w tak zwanych przez nas pustyniach. Jest rzeczą również całkiem naturalną, że te bogate i rządne gminy wzbudzały chciwość „barbarzyńskich“ plemion wojowniczych zamieszkujących lasy, że wielokrotnie były przez nich najeżdżane; i że ten sam los spotykał potem zdobywców, gdy wygody osłabiły ich dzielność wojenną. W dzisiejszych czasach suche kraje Starego Świata ciągle jeszcze cierpią wiele wskutek tego, że zostały zalane przez koczujących Turańczyków, których pierwotne siedziby — Mongolia i Turkiestan — chociaż także suche, nie dają możności zupełnego wyzyskania wyżej wymienionych korzyści z powodu ostrych warunków klimatycznych. Mahometanizm zniechęcił cywilizacyę zachodnią do suchych krain Starego Świata, i stanowi obecnie przeszkodę do jej rozwoju. Islam osłabi teraz prawdopodobnie wdarcie się kolei żelaznych do jego twierdz odwiecznych; jak w Egipcie, tak w Turkiestanie, Azyi Mniejszej, Persyi, a wreszcie i w Arabii zostanie on pozbawiony swych szponów; nawet zaciekły fanatyzm plemion tuaregskich ustępuje przed francuską szosą, biegnącą od morza Śródziemnego do Nigru. Gdy Timbuktu stanie się stacyą kolei transkontynentalnej, a Konstantynopol i Bagdad połączy kolej żelazna, pustynia utraci swą srogość, Beduini zaś i Kurdowie, tak samo jak groźni Tekkowie turkiestańscy pod wpływem kolei Transkaukaskiej przyswoją sobie sztuki pokojowe, i zamienią Mesopotamię oraz Babilonię na istne ogrody, jakimi były one dawniej, pod wpływem obfitych wód Tygru i Eufratu.

W. S.

NA MARGINESIE.

Zapach kwiatów ma wielki wpływ na organizm tak w kierunku szkodliwym, jak pożytecznym. H. L. A. Blanchon w ostatniej *La Revue* podaje niektóre ciekawe co do tych własności wskazówki. Działalność ich można porównać z działaniem alkoholu, wrażenia wywoływane przez nie są pewnego rodzaju upojeniem. Większość zapachów kwiatowych wywiera wpływ podniecający, po którego przejściu następuje w organizmie reakcya, wyrażająca się osłabieniem równem wydatkowi siły w chwili podniecenia.

Jakkolwiek niebezpieczne, mogą jednak zapachy kwiatów oddziaływać pożytecznie. Niektóre z nich mają podobno własności silnie antiseptyczne: esencya cynamonowa np. zabija w ciągu 12 minut bacyllusa gorączki tyfoidalnej, na który w tenże sam morderczy sposób działa wyciąg tymianku w 36 minutach, storczyka indyjskiego (verveine) w 45, geranium w 50, macierzanki w 75, a paczuli w 80. La-

wenda i eucalyptus odznaczają się także własnościami silnie antiseptycznemi.

Nie należy więc kwiatów wyrzucać z pokoju chorego, trzeba je tylko umiejętnie w każdym razie dobierać, aby mogły skutecznie pełnić swe podwójne zadanie: przyjemności i pożytku. Przedewszystkiem, jeśli stawiamy kwiaty cięte, należy pamiętać o tem, żeby je usunąć, jak tylko zaczynają tracić świeżość, gdyż wówczas stają się wprost niebezpieczne, wyziewając nieczystości zatruwające wodę, w której są zanurzone i powietrze. Szkodliwe są bezwarunkowo kwiaty, wydające silny zapach, lecz te, które mają barwy żywe a aromat delikatny, działają dobrze na nerwy. Do zakazanych w pokoju chorego Blanchon zalicza fiołki, konwalię, lewkonię i gwoździk.

Nadużywaniu silnych perfum przez naszych ojców z XVII i XVIII stulecia przypisuje on trapiącą dzisiejsze pokolenie neurastenię. Zapach w roślinie ma takie samo znaczenie, co jej barwa: stanowi przynętę dla owadów, pomagających nieświadomie do zapłodnienia kwiatów. Często zapach zastępuje barwę, jak np. w rezedzie. Na zasadzie pokrewieństwa niektórych aromatów różni poszukiwacze próbowali układać gamy zapachów, tak jak istnieją gamy dźwięków, w których nie brakowało nawet półtonów; geranium różowe jest np. półtonem róży. Idąc dalej w tym kierunku, możnaby ułożyć zegar aromatyczny przez ustawienie roślin, wydających zapach w różnych porach dnia. Są kwiaty pachnące tylko w nocy, inne zaś wyłącznie pod działaniem promieni słonecznych. Lecz nietylko ciemność i światło wpływają na zapach kwiatów, pora roku ma tu także znaczenie, a nawet położenie geograficzne.

Doświadczenia Flammariona wykazały, że i barwa promieni słonecznych nie jest bez znaczenia w tym razie. Kwiaty, hodowane pod szkłem kolorowem, różnią się znacznie siłą swego aromatu od tych, które rosną na wolnem powietrzu.

DONIESIENIA URZĘDOWE.

W gazecie *Kawkaz* ogłoszono następujący komunikat urzędowy:

„W Batumie, d. 9 (22) marca zrana ogromny tłum robotników zgromadził się na dworcu kolejowym przed wyruszeniem pociągu, w celu odprowadzenia adwokatów, którzy mieli bronić oddanych pod sąd robotników. Kiedy pociąg ruszył, tłum podniósł czerwoną chorągiew i z okrzykiem „hura!“ szedł plantem kolejowym. Maszynista zmuszony był zatrzymać pociąg, który ruszył powtórnie dopiero wtedy, gdy zebrani robotnicy ustąpili z plantu kolejowego. Z dworca kolejowego manifestanci, podniósłszy do góry jeszcze kilka chorągwi z antyrządowymi napisami, udali się na plac Maryjski, gdzie dali kilka strzałów rewolwerowych, które jednak nie zrządziły żadnej szkody, rozbili szyby w redakcyi *Czarnomorskiego Wiestnika*, oraz w mieszkaniach p. Erna i konsula amerykańskiego. Ujrzawszy następnie zbliżający się oddział wojska, rozproszyli się.

W Baku, d. 2 (15) marca w południe, około skweru Maryjskiego, zaczął się gromadzić lud, który z okrzykami skierował się do bramy, rozrzucając po drodze i z okien kilku domów proklamacye antyrządowe. Część zebranych udało się rozproszyć przy pomocy policyi i kozaków, reszta zaś doszła do skweru Maryjskiego i połączyła się ze zgromadzonymi już tam demonstrantami. Tutaj, niezależnie od okrzyków i rozdawania proklamacyj, tłum rzucał na policyę i kozaków kamienie, poczem rozpędzeni udali się przez ulicę Maryjską na na plac Petrowski. Podczas tego pochodu ukazała się na chwilę czerwona chorągiem. Inni demonstranci z rogu ul. Krasnowodskiej i Merkurego udali się do bazaru żołnierskiego, dzięki jednak przedsiewziętym przez dowódcę seciny środkom, udało się ich rozproszyć, przyczem kilka osób wepchnięto na dziedziniec szkoły marynarskiej, gdzie je aresztowano. Kamieniami lekko raniony został jeden kozak.

Wicegubernator bakuński, rz. r. st. Lilejew, z powodu nieobecności gubernatora pełniący jego obowiązki, udał się do demonstrantów i spotkawszy część ich na ulicy Bariatyńskiej, wezwał do rozejścia się, co też zrobiono. W tymże czasie na ul. Maryjskiej utworzono nowe zbiegowisko. Zbliżywszy się do niego rz. r. st. Lilejew, usłyszał dwa strzały, które dano na placu Petrowskim; wysiadłszy z powozu, udał się na plac wspomniany i zaczął namawiać zebranych do zaprzestania rozruchów. W czasie tym r. r. st. Lilejewa raniono w głowę i rękę; po opatrzeniu ran przez lekarzy wicegubernator jeździł dalej po mieście i wydawał odpowiednie rozporządzenia celem stłumienia rozruchów. O godz. 2 wszystko uspokoiło się.

Tegoż dnia o godz. 5 po południu w Bałachanach tłum, złożony z 12,000 ludzi, zgromadził się około zakładów wołczyńskich, począł krzyczeć i hałasować, przybyły jednak na miejsce policmajster skłonił obecnych o g. 7 wieczorem do rozejścia się

Na miejscu rozruchów w Baku aresztowano 21 osób; 18 z nich p. o. gubernatora, na zasadzie prawa o ochronie wzmocnionej, skazał na osadzenie w więzieniu bakuńskiem, trzy zaś, dwóch realistów i ucznia Michajłowskiej szkoły miejskiej, oddano właściwej władzy.“

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. W *Warsz. Dn.* czytamy: „Według doniesienia pism żydowskich, melamedzi w Płocku postanowili udać się do naczelnika dyrekcyi naukowej z prośbą o wyznaczenie dla dozoru sanitarnego nad ich szkołami (chederami) lekarza wyznania chrześciańskiego, zamiast pełniącego obecnie te obowiązki lekarza Żyda, dr. Temersona, który zbyt „uciska“ melamedów, wymagając ścisłego wykonywania w chederach zaleceń swoich sanitarnych i hygienicznych; wskutek tego dr. T. stał się bardzo niepopularnym wśród mełamedów i chasydów płockich, napróżno usiłujących utrzymać chedery i ich uczniów w nieczystości pierwotnej. Starając się o mianowanie lekarza chrześcianina, Żydzi płoccy, widocznie, spodziewają się, że nowy lekarz nie będzie tak obeznany z ich życiem, jak lekarz obecny, i że im się uda powołaniem na rytuał paraliżować jego działalność.“

— Ministeryum spraw wewnętrznych zatwierdziło ustawy kas posagowych w Częstochowie, Ostrołęce, Pułtusku i Kozienicach.

— Zmarły w Radomiu obywatel ziemski, Konstanty Mirecki, testamentem przekazał 500,000 rb. na różne cele społeczne, między innemi na stypendya dla Polaków-katolików 100,000 rb., na założenie szkoły rzemieślniczej w Warszawie 40,000 rb., na odnowienie Wawelu 50,000 rb., na Tow. dobroczynności w Radomiu 10,000 rb., dla Akademii umiejętności w Krakowie 50,000 rb., na rozliczne instytucye dobroczynne w Warszawie 100,000 rb., na dom pracy w Radomiu 10,000 rb., na ochronę dziecięcą w Radomiu 6,000 rb., na szpital św. Kazimierza w Radomiu 6,000 rb., ewentualnie zaś 46,000 rb., jeżeli obecny gmach szpitala będzie sprzedany, a nowy wybudowany w odpowiedniem miejscu; na założenie szpitala dziecięcego w Radomiu 3,000 rb. — itd.

Ruch wychodźczy robotników rolnych z Królestwa Polskiego i Galicyi w b. m. wzmógł się znacznie; niedawno przez Wrocław udało się około 30,000 wychodźców do dalszych okolic Niemiec.

— W Drammen, w Norwegii jest dom wychowawczy dla niemowląt, który w zeszłym miesiącu obchodził dwudziestopięciolecie swego istnienia. Jego założycielka panna Swenda Holst, córka bogatego przemysłowca, pierwsze chwile młodości spędziła wśród uciech i pustej zabawy swojej sfery, lecz nagle, pod wpływem śmierci serdecznej przyjaciółki, zmieniwszy zupełnie tryb życia, oddała się cała pracy dla drugich. Zaczęła od wynajęcia jednego pokoiku w roku 1877 i opieki nad jednem niemowlęciem. W rok potem już ich miała trzynaścioro. W miarę przybywania dzieci rozszerzało się pomieszczenie. Obecnie zakład mieści się w pięknym dużym gmachu, którego warunki zdrowotne odpowiadają zupełnie potrzebom jego maleńkich mieszkańców. Około 176 dzieci otrzymało tam już wychowanie do lat jedenastu.

— Według danych, zebranych przez królewski urząd statystycznych w Sztutgardzie, suma mieszkańców całego świata wynosi 1,544,510,000; w tem 534,940,000 chrześcian, 10,860,000 izrael., 175,295,000 mahometan, a 823,420,000 należy do innych wyznań; wyznawców Konfucyusza jest 300 milionów, brahminów 214 mil., buddystów 121 mil. Na każde 1,000 ludzi przypada 346 chrześcian, 7 izraelitów, 114 mahometan i 525 wyznawców innych religij.

Z Poznańskiego. *Schles. Ztug.* ogłosiło odezwę, wzywającą ludność do energicznej walki z żywiołem polskim w obronie interesów niemieckich na Śląsku. Odezwę zredagował powieściopisarz i historyk Feliks Dahn, a podpisali ją najwybitniejsi członkowie niemieckiej szlachty śląskiej.

— *Gazeta Opolska*, stwierdzając zmniejszenie się ilości swych prenumeratorów, podaje jako przyczynę fakt następujący: „Niżsi urzędnicy kolejowi, którzy dotąd byli abonentami *Gazety*, opowiadają, iż zakazano im czytywać to pismo pod grozą przeniesienia do Westfalii. Nawet przez osobę trzecią otrzymywanie *Gazety* stało się niemożliwe, gdyż nauczyciele badają w zręczny sposób dzieci, gotowi ukuć denuncyacyę do odpowiedniej władzy.“

— Komisya kolonizacyjna postanowiła wysłać do Krymu odezwę, wzywającą tamtejszych Niemców-kolonistów do osiedlenia się w Poznańskiem.

— Rząd pruski zakazał landratom przyjmować mandaty poselskie.

Szkoły i wychowanie. *Warsz. Dn.* donosi, że grono pedagogów powzięło myśl urządzenia na wsi gimnazyum prywatnego dla uczniów chorowitych. Projektowany jest na ten cel Leśniów, w pow. Będzińskim.

Wiadomości naukowe. Albańczycy według profesora Virchowa posiadają czaszki najwyżej rozwinięte w Europie; dr. Dillon tak o nich mówi w artykule swoim w *Contemporary Review*. „Z okrucieństwa, niechęci do pracy i spokojnego życia podobni są do Kurdów. Jak oni mają przekonanie o wyższości swych praw i swej rasy nad innymi ludami, które istnieją tylko dla ich korzyści. Gościnność i zemsta rodowa są u nich zwyczajem obowiązującym całe pokolenia, których członkowie wymordowywują się bez końca ku uczczeniu pamięci zmarłych. Obliczono, że 25% ludności męskiej w Albanii ginie wskutek tego śmiercią gwałtowną. I rzecz dziwna, tam, gdzie mężczyzna może paść trupem niespodzianie w każdej chwili, ugodzony przez zaczajonego nań wroga, kobieta żyje w najzupełniejszem bezpieczeństwie.

Ze sztuki. W Łodzi otworzono wystawę dzieł malarzy, rzeźbiarzy i architektów miejscowych, na którą złożyły się 194 prace.

— Redakcya *Rozwoju* cofnęła ogłoszony konkurs na herb m. Łodzi.

— W Poznaniu otworzono stałą wystawę obrazów i rzeźb.

Literatura i prasa. Rozstrzygnięto konkurs, ogłoszony przez *Gazetę Świąteczną* na powieść lub artykuł. Ponieważ żaden z nadesłanych utworów nie odpowiadał w całości wymaganym warunkom, więc nagrodę podzielono i przyznano opowieściom: p. Jana Sochy p. t. „Ostatnia prośba,“ rb. 150; p. Osuchowskiej (Wili) „Ziarno“, rb. 100; p. Kazimierza Ruszkowskiego „Dwaj przyjaciele“ rb. 50. Oprócz tego wyróżniono prace: „Na bezdrożu“ p. Fatymy Sosińskiej, „Kilka kartek z pamiętnika nauczyciela ludowego“ p. S. Gębarskiego, „Tam dobrze, gdzie nas niema“ i „Jaśkowe dzieciństwo“ Wili, oraz „Kochające serce“ p. Bronisławy Włodkowny.

— W Węgrowcu, w Poznańskiem, zaczęło wychodzić czasopismo polskie p. t. *Quo vadis*, które wzięło sobie za zadanie ogłaszanie krzywd, wyrządzanych Polakom pod panowaniem pruskiem. Tekst pisma drukowany jest w trzech językach: polskim, niemieckim i francuskim

— Galicyjski Wydział krajowy ogłosił z funduszu Fr. Kochmana konkurs na dwa dzieła w języku polskim, dla literatów polskich, mieszkających w którymkolwiek kraju. Do ubiegania się o nagrody (2,000 i 1,000 koron) dopuszczone będą wszelkie dzieła, z wyjątkiem jedynie dzieł treści religijnej i teologicznej, wydawnictwa zaś materyałów historycznych lub innych, bibliograficzne itp. tylko wtedy, jeżeli im towa-

rzyszy samodzielne oryginalne dzieło autora. Także utwory autorów już zmarłych mogą się ubiegać o premium konkursowe, jednakże z zastrzeżeniem, jeżeli to są dzieła drukowane za życia autora, to im prawo do konkursu służy tylko w ciągu trzech pierwszych lat od jego zgonu. Jeżeli zaś nie są jeszcze wydrukowane, to przyznana im nagroda przedewszystkiem na wydanie dzieła użyta być powinna. O pracach żyjących jeszcze autorów samo się rozumie, że jedynie książki, drukiem już ogłoszone, mają prawo do konkursu. Dawniejsze jednak wydawnictwa, niż z r. 1892, czy ich autorowie żyją lub nie, nie mogą, według postanowień statutu, być dopuszczone do konkursu. Ponieważ prawo do otrzymania nagrody służy również dziełom, które na konkurs nie zostały nadesłane przeto komisya wzywa autorów, ażeby niezależnie od jej starań, prace swoje nadesłali pod adresem Wydziału krajowego we Lwowie najpóźniej do d. 31 grudnia r. b.

— Dzienniki *Uralec* i *Samarskaja Gazeta* zawieszone zostały na trzy miesiące.

Sprawy ekonomiczne. *Kur. Sosnowicki* donosi, że projektowane podwyższenie cła od maszyn wpłynęło na podniesienie się cen na żelazo i wyroby z tego metalu na rynku krajowym, a jednocześnie fabryki mechaniczne zawalone są obstalunkami.

— Zatwierdzono ustawę Tow. spożywczego w Miłowicach (gub. Piotrkowskiej).

— Komitet giełdy mięsnej i wołowej w Moskwie ogłosił konkurs na referat, którego treścią ma być: „Zdolność do aklimatyzacyi różnych ras bydła zagranicznego w różnych pasach Rosyi i stopień usposobienia do tuberkulozy tak tego bydła, jak i pochodzącego od niego w krzyżowaniu z miejscowem" Autor pracy odznaczonej otrzyma 500 rb., prawo zaś wydania pracy nagrodzonej pozostaje przy komitecie Termin oznaczono na d. 15 marca 1905 r.

— *Gaz. kiel.* oblicza, że w gub. Kieleckiej rozparcelowano lub parcelują 253 majątki, a mianowicie: w pow. Kieleckim 11, w Jędrzejewskim 31, Miechowskim 68, Olkuskim 23, Włoszczowskim 20, Stopnickim 47, Pińczowskim 53. Skutkiem tego około 3,000 różnej służby dworskiej pozostało bez zajęcia.

Zdrowie publiczne. W celu walki z chorobami zaraźliwemi, panującemi śród robotników i wyrobników w warszawskich fabrykach podmiejskich, niektórzy lekarze fabryczni, w porozumieniu z zarządami, wystąpili z podaniem do inspektorów fabrycznych o pozwolenie na ustanowienie obowiązkowej rewizyi robotników, przyjmowanych do fabryk. Jednocześnie jeden z lekarzy wystąpił z projektem wprowadzenia fabrycznych ksiąg lekarskich do zapisywania robotników chorych na przymiot, a to w celu niedopuszczenia ich do fabryk, zajmujących się wyrobem produktów spożywczych. (*Kur. Warsz.*)

Koleje i komunikacye. Od 1 maja zniesiona będzie na kolejach Nadwiślańskich osobowa taryfa podmiejska z Warszawy do Nasielska, Pomiechówka, Gąsocina, Świercza, Ciechanowa, Konopek, Sobolewa, Wilgi, Iwangrodu, Życzyna, Nowej-Aleksandryi, Gołębia, Nałęczowa, Klementowic, Lublina i Konopnicy, oraz na dystansie Kielce-Iwangród, Lublin-Chełm Lublin-Iwangród, Warszawa (przez Tłuszcz) Pasieki, Ostrołęka i Stanisławów.

— Lekarzom kolejowym polecono obznajmiać służbę pociągową ze sposobami udzielania pierwszej pomocy podróżnym w razie katastrofy lub zasłabnięcia.

Katastrofy. W Nowej Aleksandryi pożar zniszczył zupełnie kilkadziesiąt domów, skutkiem czego 300 osób znalazło się w nędzy.

— Z Honkongu donoszą, że w arsenale kantońskim wyleciała w powietrze fabryka prochu; około tysiąca osób utraciło życie. Przyczyną katastrofy było rozmyślne wysadzenie przez urzędników chińskich, którzy tym sposobem chcieli skryć nadużycie sprzedawania prochu powstańcom.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu Kazimierczykowi. Wyjaśnienie znajdzie Pan w Kronice numeru bieżącego.

Panu M. Rojeckiemu w Troicku. Książki żądane wysyłamy.

Pani Tymowskiej w Ulesiu. Nr. 13 i 14 wysyłamy.

Panu Mackiewiczowi w Smoleńsku. Numery wysłaliśmy zaraz po odebraniu pieniędzy.

Panu Kryńskiemu w Sumach. Nr. 14 wysłaliśmy powtórnie.

OFIARY.

— Na powodzian stopnickich zebrane od pracowników z Elżbietowa rb. 7.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 9 Апреля 1903 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.